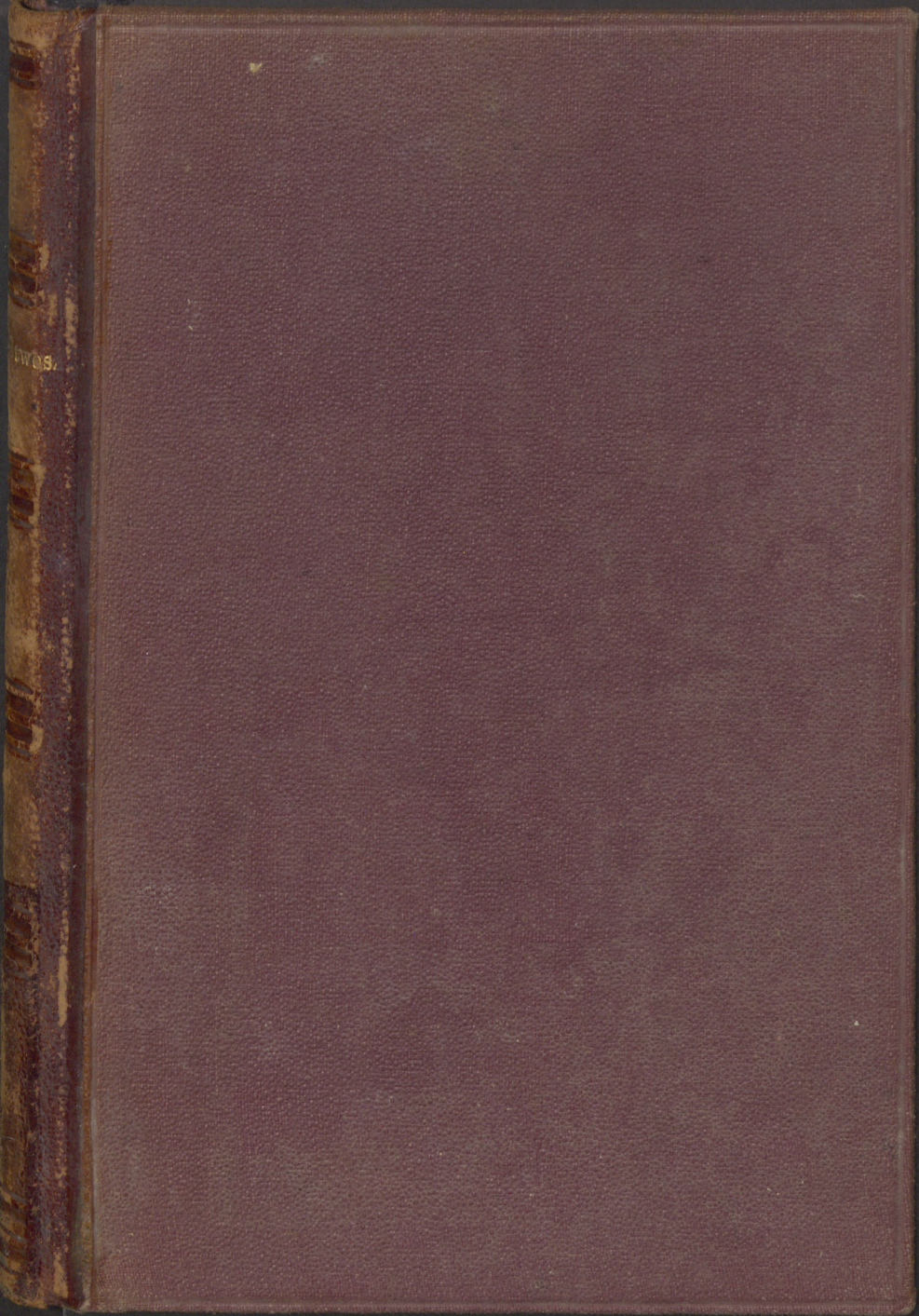
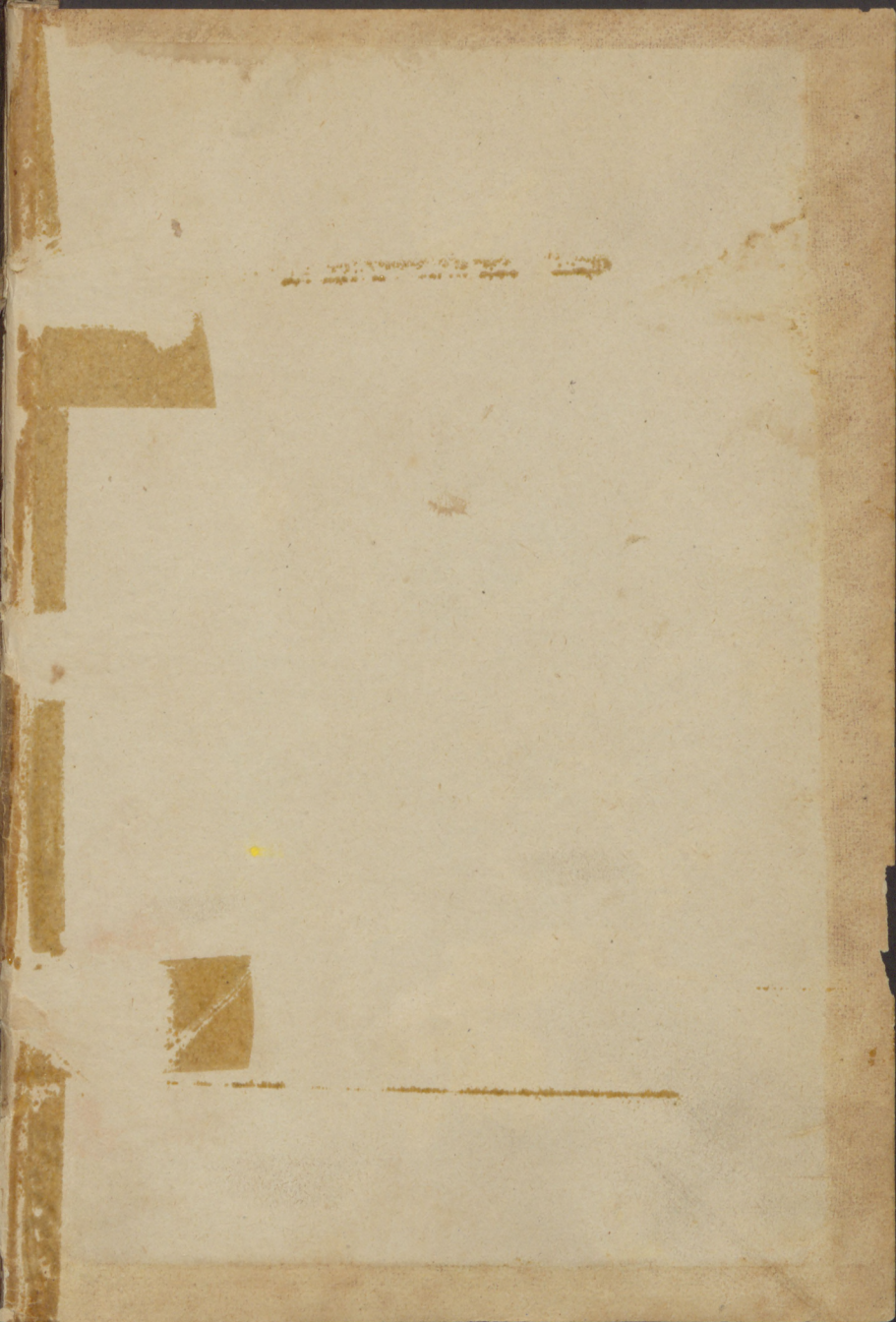
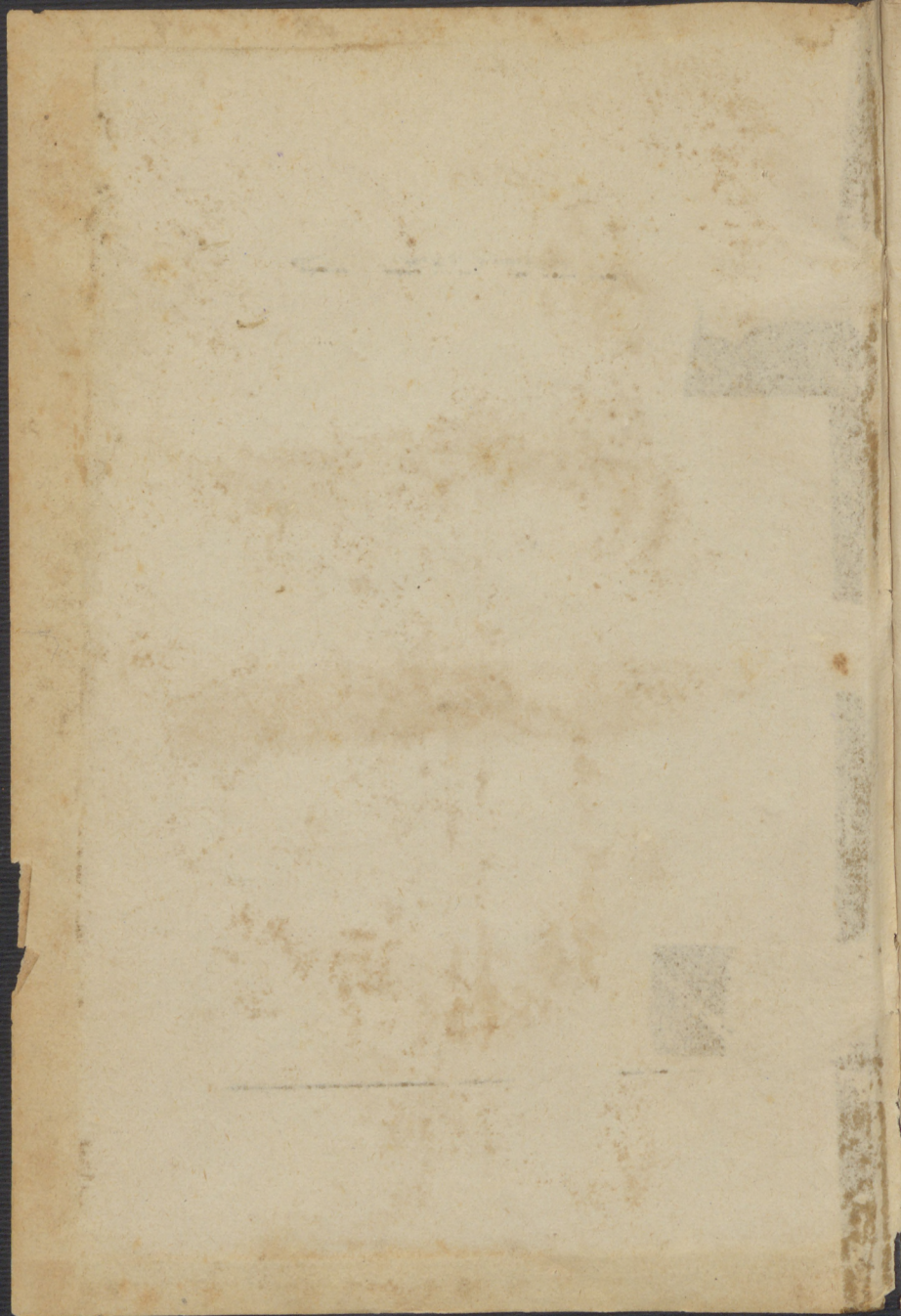




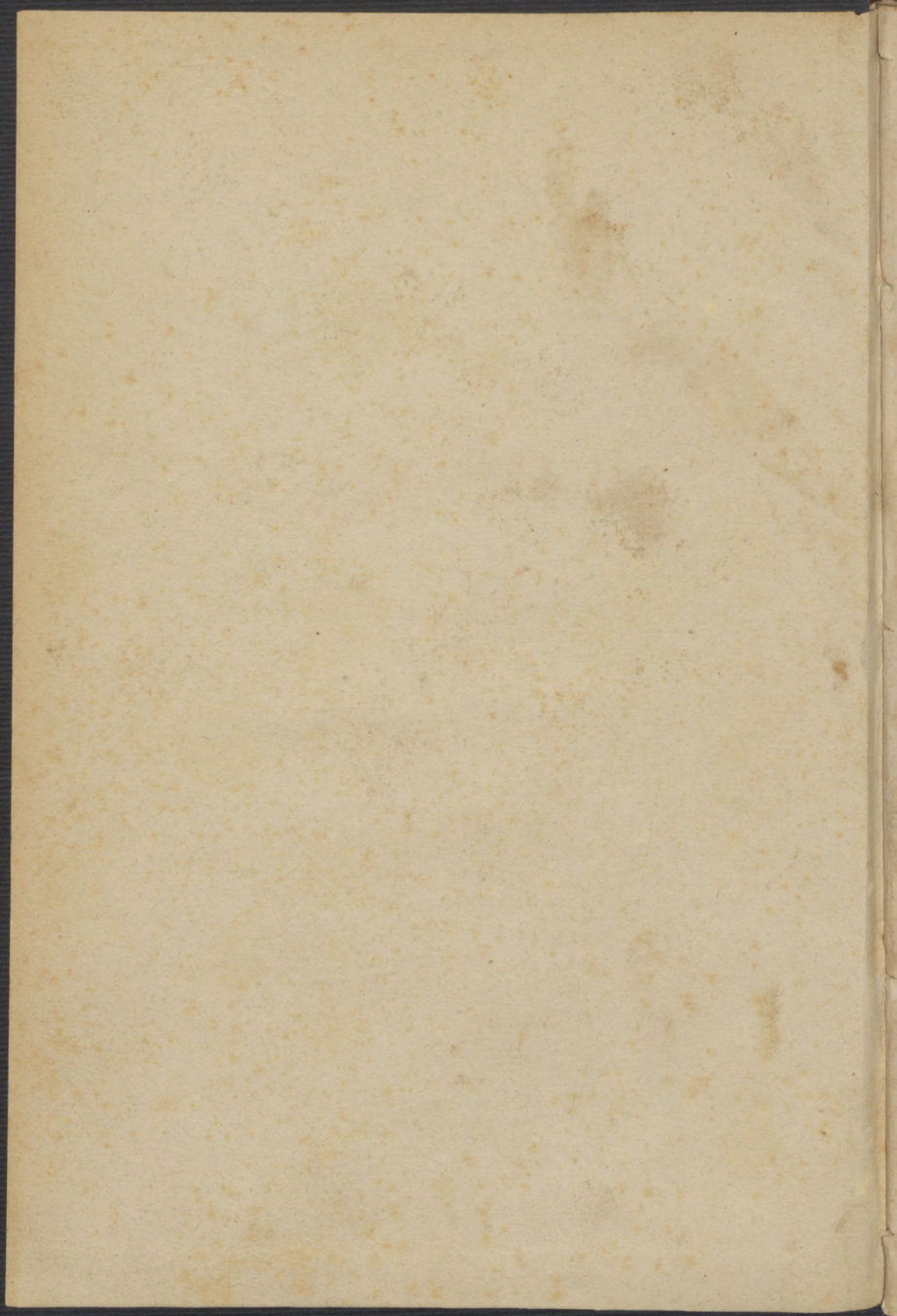






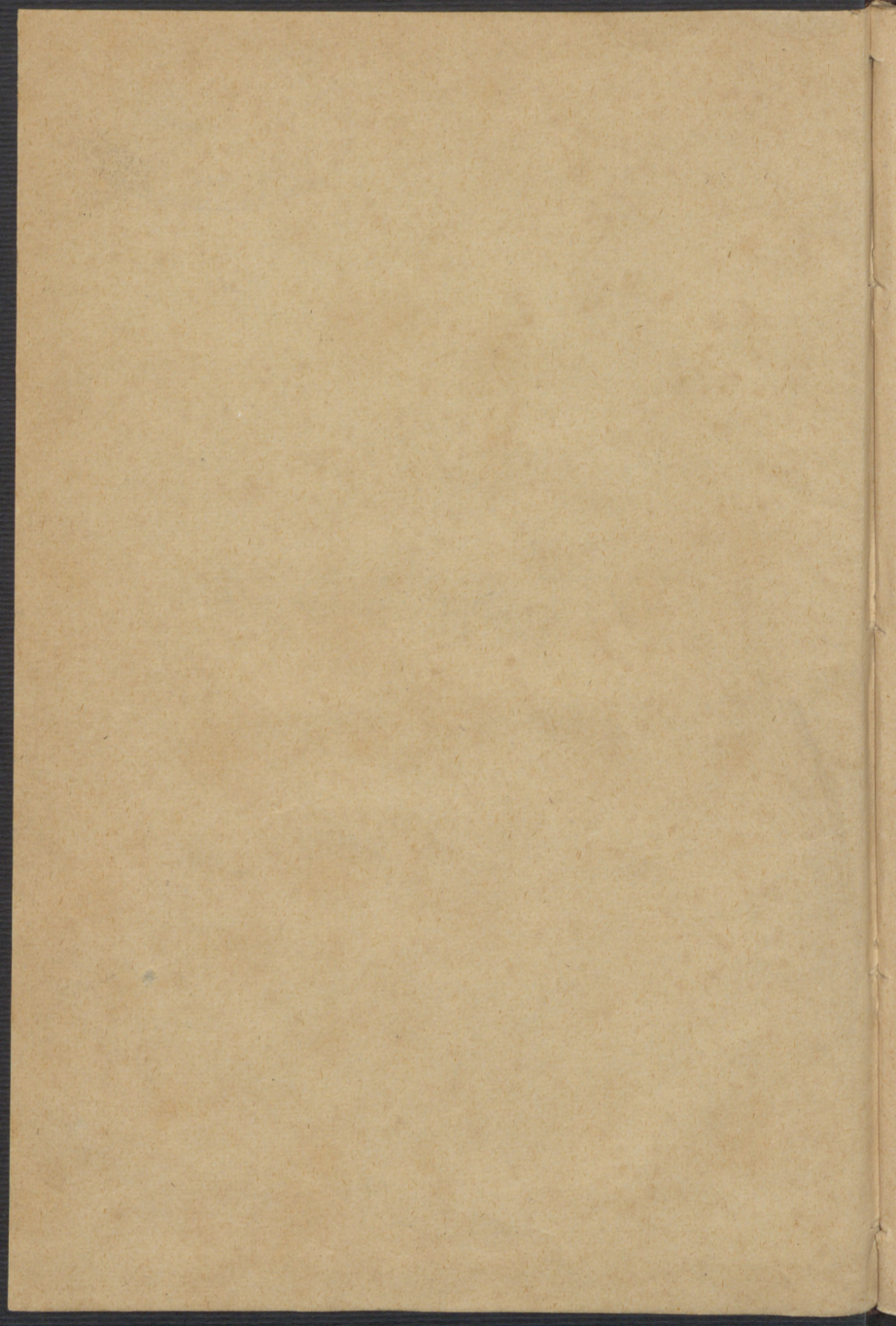
3635







WIT STWOSZ.



WIT STWOSZ.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Z FAKTÓW DZIEJOWYCH

NAPISAŁ

WINCENTY RAPACKI.

ARTYSTA DRAMATYCZNY.

Przekłeta zazdrość dziwnie się frasuje,
Kiedy u kogo co nad ludzi czuje;
Więc jeśli nie zjé, tedy przed się szczeka,
A ustawicznie na twoje zło czeka.
To na nią fortel: nie nie czuć do siebie,
A wszystko mężnie wytrzymać w potrzebie.
(Jan Kochanowski).

NIEWOLNO PRZEDSTAWIAĆ NA SCENIE, BEZ POROZUMIENIA
SIĘ Z AUTOREM.



WARSZAWA.

DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,

Nowolipki Nr. 2406 (nowy 3).

1874.

~~1308/C~~



821.162.1-2

Дозволено Цензурою.

Варшава 9 Октября 1874 года.

~~Akc~~

~~21.08.74 C~~

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-051199

Akc. w Nr 12 / 06 / 02

O S O B Y.

Emanuel Wielki, król portugalski.

Lazarus Holtzschuher, burmistrz Norymbergi.

Krzysztof Kohler,

Antoni Tucher,

Kasper Nutzel,

Marcin Gender,

Steinbauer cechmistrz,

} rajcowie miasta.

Wit Stwosz, snycerz.

Dürer, malarz.

Piotr Vischer, odlewnik.

Brat Albrecht, pomocnik Stwosza.

Heintz Deichsler, pisarz rady i kronikarz miasta.

Matys }

Arnold } czeladnicy.

Mikołaj, stary sługa Stwosza.

Starzec żebrak.

Jakub Baner, handlarz.

Beata, córka Stwosza.

Siostra Erdmuta.

Rajcowie.—Czeladź Stwosza i Vischera.—Rzemieślnicy.

Wyrobnicy.—Lud.

Rzecz dzieje się w Norymberdze, w latach 1501—3.



COPY



163



A K T I.

Pracownia Wita Stwosza.—Wielka izba w stylu gotyckim, w niej prace Stwosza pozaczynane stoją z boku lub wiszą na ścianach. Wykończone figury na środku, między którymi święta Cecylia i grupa Adama i Ewy.—Poranne słońce wpada przez okno z prawej widzów i oświetla posągi. — Wszystkie posągi naturalnej wielkości, w stylu średnio-wiecznym, kolorowane i złoczone, dają złudzenie żywych figur.— W głębi, z boku trochę, główne wejście, po obu stronach okna. Okno z lewej zastonięte firanką.— Z lewej drzwi do drugiej izby.

ALBRECHT (*zajęty pracą przy płaskorzeźbie*).

Daremna praca—próżno się mazać...
Szlachetne lica odnajdziesz w pamięci,
Albo je z własnej duszy wydobędziesz,
Ale twarz łotra nie tak łatwo stworzyć.
Czuję ją tutaj—plącze się po głowie,
A przecież brak mi pewnych małych rysów,
Wziętych naturze—tych paru cięć dłuta,
Którymi nieraz mój Wit tyle czucia,
Tyle wyrazu, duszy tyle kładzie.
Często się spotka twarz taką niegodną,
Istnie szatańską, która zda się prosić,
By ją wyrzeźbić—dziś nic nie napływa
Do méj pamięci.
Postać Chrystusa wyszła mi przedziwnie,
Słodka, spokojna i cierpiąca cała;
Ale ten szatan skrył mi się gdzieś w mózgu
I nijak dobyć go ztamtąd nie mogę,
Ha dosyć! Niechże Wit dopowie reszty,
Na to on mistrzem.

(*Wchodzi BEATA drzwiami w głębi.*)
 Dziewczyno złota! wchodzisz mi tu razem
 Z promieniem słońca, cieszyć strapionego.
 Zkądże to wracasz?

BEATA.

Powracam z kościoła.

ALBRECHT.

Świętego Jana?

BEATA.

Świętego Wawrzyńca.

ALBRECHT.

Wysłaś więc z domu z pierwszym brząskiem słońca
 I już na modły. Lecz co tobie, dziecko?
 Krasny rumieniec wybiegł ci na lica,
 Oddychasz ciężko—czy cię co spotkało?

BEATA.

Pozwól mi spocząć i sił zebrać nieco.
 W obronie ojca walkę dziś stoczyłam.

ALBRECHT.

Ty, drogie dziecko?

BEATA.

Wysłałam bardzo rano,
 Chciałam samotna przyjrzyć się dokładnie
 Ostatniej pracy waszej, którą w częściach
 Widziałam tylko.

ALBRECHT.

Temu cyboryum?

Wczoraj odkryte.

BEATA.

Wchodzę do kościoła:

Nikogo jeszcze nie zastałam. Słońce
 Poranku wbiegło purpurowym szlakiem
 Przez szkła tęczowe i oblało blaskiem
 Drogich kamieni całe cyboryum.
 Stałam sobie przy jednym z filarów
 I wodzić wzrokiem zaczęłam od dołu,

Aby nie stracić najmniejszej ozdoby.
 I gdy tak biegnę wślad za wiązaniami
 I rozpatruję żyłki i zarysy
 Coraz to wyżej pod samo sklepienie...
 Wówczas zda mi się że kościół zanizki,
 By się swobodnie rozwinęły wieże,
 I nie śmiem oczu wnieść dalej do góry,
 Bo jestem pewna, że strop przebodzony
 Temi wieżami. — Odważam się wreszcie
 I cudol!... widzę pod samém sklepieniem
 Nagięte wieże ku ziemi z pokłonem....
 Myśl mego ojca pojęłam odrazu.

ALBRECHT.

Jest tu wyrażon duch ludzki w pokorze,
 Który wielkości Bożej nie podola.

BEATA.

Gdy tak w zachwycie wpatruję się w górę,
 Słyszę za sobą jakieś ludzkie głosy.
 Spoglądam wokół, widzę orszak ludzi
 W wspaniałych strojach, bogato przybranych,
 Ale zda mi się cudzoziemców. Z nimi
 Szedł zdala burmistrz wraz ze Steinbauerem,
 Naszym cechmistrzem, który im tłumaczył.
 Jeden, najstarszy z nich urzędem pewnie,
 Począł oglądać cyboryum i dosyć
 Nadziwić, dosyć się nachwalić nie mógł
 Temu pięknemu dziełu, jak sam mówił.
 Wtedy Steinbauer wystąpił z zarzutem,
 Twarz mu pobladła, oczy się iskrzyły
 I zaczął prawie gorąco przed nimi,
 Że to wbrew formom zakrzywiono wieże
 I tym sposobem całe to cyboryum,
 Dość zresztą piękne... zeszpecono.

ALBRECHT.

Głupiec!

BEATA.

Z uśmiechem spojrział ów pan na cechmistrza
 I odrzekł, że mistrz musiał w tém mieć swoje
 Ważne powody. — Wtedy wystąpiłam
 Śmieje z ukrycia i jęłam tłumaczyć
 Myśl mego ojca. — Słuchał mnie z zajęciem,
 A gdym skończyła, przybliżył się do mnie
 I z łagodnością a słodyczą w twarzy
 Spytał kto jestem, że umiem tłumaczyć
 Myśli tak wzniosłe. „To jest córka Stwosza,“
 Powiedział burmistrz, gdy ja zawstydzona
 Umilkłam nagle. „Pośpiesz, rzekł, do ojca,
 Powiedz mu wszystko coś tutaj słyszała,
 A razem dodaj, że utworzył dzieło
 Tak cudnie piękne, iż takiemu dotąd
 Jeszcze nie spotkał, a widziałem dużo.”
 Skłoniłam mu się, wybiegłam z kościoła
 I oto jestem.

ALBRECHT.

O, dzielna dziewczyno!

Wartaś korony. I któż to był pan ów?

BEATA.

Nie chciałam pytać, bo mi pilno było
 Uciec z tą wieścią. Teraz słucham ciebie.

(Patrzy na prace jego).

Jużes to skończył — i jak pięknie skończył!
 Zkąd w twojej głowie tyle cudnych twarzy?
 Zda się że z nieba wykradać je umiesz.

ALBRECHT.

Rzadko zaglądasz do szyby zwierciadła,
 Bobys widziała, że i ziemia nasza
 Ma je czasami.

BEATA.

O zamilcz, bluźnierco.

Jak twoje prace podobne do ojca!
 Trudno rozpoznać dziś już wasze dłuta,

A po upływie lat kilku dziesiątek,
Za pracę Stwosza ludzie je osądzą.

ALBRECHT.

Wpatrz-no się dobrze, a zobaczysz pewnie,
Żem jest daleki od twojego ojca.

BEATA.

Znów piękną pracę przyozdobisz kościół,
A sam się skryjesz, i znowu zdumieni
Naprawdę pytać będą się o mistrza,
Kłócąc się z sobą o nazwisko jego.

ALBRECHT.

Takem ślubowałem.

BEATA.

Nie chcesz by twe imię
Zarówno czczono, jak i Wita Stwosza?

ALBRECHT.

Tybyś mnie sławnym chciała mieć, Beato;
Nieszczęścia tego nie chcę, nie požądam.

BEATA.

Więc to nieszczęście?

ALBRECHT.

O, wielkie i ciężkie!
Niekażdy umie dźwigać je na barkach.
Sława jest jako owa krasna szata,
Co to zwierzowi w oczy się migoce,
Aby rogami bódl ją.—Jam ślubował
Skromność, pokorę.—Miłości chcę tylko,
W niej szczęście całe—a jeszcześ mnie dzisiaj
Nie powitała.

BEATA (*całując go w czoło*).

Masz!

ALBRECHT.

To mi wystarcza
Za grzmącą sławę, za dymy kadzideł.
Dostyc twój ojciec utrapień z nią znosi.
Przyjechalismy po nią aż do Niemców,

I ot ją mamy... wzamian za nasz spokój,
Stracone szczęście, łzy i niepokoje.

BEATA.

Cicho, Albrechcie, znów swą piosnkę nucisz.
Mój biedny ojciec!... Wróćmy do twój pracy.
Wszystko tu piękne, wszystko wykończone..

ALBRECHT.

W tém złe jest właśnie, że wszystko tu piękne.

BEATA.

Czyż to cię martwi?

ALBRECHT.

Więc nie wiesz, Beato,
Że piękno wtenczas jaśnieje potężnie,
Gdy obok szpetność stanie z niém do walki?
Cudowny Chrystus w obrazie Dürera
Ileżby stracił, gdyby mu odjęto
Tego szatana, który zgrozę nieci.
Tak i ta postać zajaśnieje blaskiem,
Gdy owa wyjdzie szpetna i złośliwa.
Myślałem długo—szukałem w pamięci,
Czym gdzie nie widział jakiej niecnój twarzy:
Nic mi nie przyszło.

BEATA.

Judasza chcesz znaleźć?
Myszę że niebrak Judaszów w tém mieście,
I zdaje mi się że ci wskażę wzór ów,
Którego szukasz.

ALBRECHT.

Zkądżebyś go wzięła?
Ty ze świętymi przebywasz, dziewczeczko,
A jego w piekle poszukaćby trzeba.
Gdybym był pewien że siłą zaklęcia
Zjawi się jaka niecna postać zaraz,
Tobym ją zaklął. (*Pukanie do drzwi*).

Wejście, w imię Boże!

(*Wchodzi BANER, układna, lisia postać, broda ruda*).

BEATA.

Wszelki duch!..

ALBRECHT.

Co to? Widmo-li, czy człowiek?

Kto wy jesteście?

BANER.

Widzę żem wam przerwał

Ważne zajęcie—i ztąd zadziwienie

I ten niepokój. Przebaczenie mi, proszę.

Do mistrza Wita mam interes ważny...

Czy go zastaje?

BEATA.

To dziwne i straszne!

ALBRECHT.

Tego człowieka już ja gdzieś widziałem,

We śnie, czy w jawie, nie pamiętam dobrze,

Ale to pewna, że nieczyste moce

Tu go rzuciły.

BANER.

Odpowiedcież, proszę.

ALBRECHT.

Mistrz jest zajęty w swój pracowni własnie,

Raczie zaczekać, a niebawem wyjdzie,

Bo nierad, by mu robotę przerwano.

BANER.

Chętnie zaczekam, bo przytém skorzystam,

Gdy tylu pięknym dziełom się przypatrzę.

ALBRECHT.

Czy wiesz, Beato, że zdrętwiałem cały...

O, w złą godzinę wyrzekłem te słowa!

BEATO.

Masz czegoś żądał—jeżeli to Judasz,

To chwytaj dłuto—wzór stoi gotowy.

(Głos Stwosza za sceną).

Albrecht!

ALBRECHT.

To ojciec.—Zostań tu, Beato,
I patrz nań pilnie. (*Odchodzi*).

BEATA.

Dziwne zjawisko! przecucie mi mówi,
Że on nieszczęście do dom nam przyniesie.
Nie jest mi obcy—widziałam go niegdyś
Ze Steinbauerem, strasznym wrogiem naszym,
I właśnie miałam obraz jego w myśli,
By Albrechtowi jako wzór go wskazać,
Kiedy zakłęty jak zły duch się zjawił.
Czego chce od nas? Czyżby ten Steinbauer
Dłoń zgody ojcu chciał podać?—Nie wierzę.
O, jak mnie wszystko trwoży tu straszliwie!
Zda mi się ciągle, że ci ludzie dybią
Na nasze szczęście, na byt, spokój cały!
(*Zbliża się do okna*).

Cichy nasz domku—wierni przyjaciele,
I wszystko, wszystko cośmy zostawili
Tam—tam na wschodzie, daleko—gdzie słońce
Jasną swą głowę pozdrawia nas codziennie,
Jakby mówiło: „Byłam tam i będę
Jutro—pozdrowię wszystko co wam drogie.”
Kiedyż was ujrzę?

(*Albrecht wraca*).

ALBRECHT.

Mistrz was żąda widzieć,

Chciejcie wejść.

BANER (*klaniając się*)Dzięki. (*Odchodzi*).

ALBRECHT.

Wiész kto jest ten człowiek?

BEATA.

Wiem—to zły duch nasz!

ALBRECHT.

Nie, to tylko handlarz

Z Bremskiej ulicy—ojciec twój mu daje
Pieniądze swoje, by nimi handlował
Na zysk i stratę.

BEATA.

Zkąd się wziął ten człowiek?
Kto go tu przysłał? To jest szpieg cechmistrza,
Z nim go spotkałam i o nim to właśnie
Chciałam ci mówić.

ALBRECHT.

To jeden z kramarzy,
U których pieniędzy jest duszą wszystkiego.
Jakiś plan wielki Witowi podsuwa,
By się zbożacył.

BEATA.

Co? by się zbożacył?
A jakaż droga wiedzie do bogactwa?

ALBRECHT.

Droga handlarskich wykrętów i matactw.

BEATA.

Co mówisz, ojciec?...

ALBRECHT.

Ojciec łatwowierny,
A Niemiec chytry. Biedni my, Beato!
Ten Stwosz już nie nasz—niemiecki obyczaj
Jak mech do drzewa do niego przyrasta,
Coraz to w nowych, dziwnych myślach krąży,
Nasz cichy kątek dziś mu już zamały;
Jak tam w Krakowie tęsknił wiecznie za czémś,
Tak i tu rwie się w zaświatowe sfery,
Poczyna prace dziwacznej natury.
Czy wiesz co teraz myśl jego owładło?
Oto świat cały chce wyrzeźbić dłutem.

BEATA.

Nie mogę pojąć....

ALBRECHT.

Jest wielka tablica,

A na niej ziemia, z góry i lasami,
 Morzem i rzeki,—miastami i wsiami,
 Słowem z tém wszystkiém, co tylko na ziemi.
 Pracuje nad tém dnie i noce całe:
 Udało mi się podpatrzeć go wczora.
 Dziwna to praca! mierzyć się zuchwale
 Z ramieniem wielkiém Onego sztukmistrza!
 A tak prawdziwie, tak wszystko wypukło,
 Że zda się widzisz ten świat z wysokości
 Wieży olbrzymiej.

BEATA.

Mój Boże! jakże to

Piękne być musi!

ALBRECHT.

To straszne, Beato!

W głowie ma wielkie i zuchwale myśli,
 Duma go pędzi do rzeczy nadludzkich.
 Wojnę zażartą prowadzi z cechmistrzem.
 Czy myślisz że to płazem puszczać? Nigdy!

BEATA.

Przedwczesna trwoga. Pobyt nasz w tém mieście
 Nie będzie długi. Pamiętasz, Albrechcie?
 Wszakże nam przyrzekł, że powrócim do dom.

ALBRECHT.

Przyrzekł, żeby cię uspokoić, dziecko.
 Wiem że już kupił dom z gruntem za miastem,
 Gdzie nowy warsztat założyć zamysła.
 O, niech przeklęty będzie wiecznie Niemiec,
 Co go nam wydarł!..

BEATA.

Przestań już przeklinać,
 Módlmy się raczej, mój dobry Albrechcie.

ALBRECHT.

Módlmy się, ale i czuwajmy razem,
 A jeśli trzeba iść na koniec świata,
 Pójdziemy za nim.

BEATA.

O, jakiś ty dobry!

ALBRECHT.

Niech goni sobie za sławą i złotem,
A my z miłością zdążym w jego ślady.

BEATA.

Tak, tak, mój drogi!

ALBRECHT.

A teraz, dziewczeczko,
Mam coś takiego, co ci radość sprawi.
Powiedz-no, wszakże mawiałaś mi nieraz,
Że żal ci bardzo małego ogródka,
Który tak skrzętnie uprawiałaś sama,
Że gdyby był tu, mniejbyś się smuciła?

BEATA.

Kwiaty te wielki urok dla mnie mają;
Szukałam ich tu, ale nadaremnie:
Niemiecka ziemia nie wydaje takich.

ALBRECHT.

A gdybym ja też twój mały ogródek
Tutaj sprowadził?

BEATA.

Co mówisz? Albrechcie!

Wiem żeś rad gwiazdę z nieba dla mnie ściągnąć;
Twe zacne chęci...

ALBRECHT (*odsuwa firankę u okna, na którym widać doniczki z kwiatami*).

Spojrzyj-że w to okno.

BEATA (*klaszcząc w dłonie*).

Co widzę? Boże! to mój ogród mały:
Rozmaryn, ruta, boże drzewko, lilia,
Kwiaty me drogie! Zkądże one? powiedz.

ALBRECHT.

Zkądżeby były?..

BEATA.

Z naszego ogrodu?

Co mówisz? Boże!

ALBRECHT (*tłumiąc wzruszenie*).

Tak, moja Beato,

Przywiózł je kupiec Bierwinek z Krakowa,
Wraz z pismem brata, które jest u ojca.

BEATA (*rzucając mu się na szyję*).

O mój najdroższy!

ALBRECHT (*j. w.*)

Dosyć już, Beato.

(*Wchodzi WIT STWOSZ, za nim BANER*).

WIT STWOSZ.

Całe wam mienie powierzam z ufnością.
Wiem żeście człowiek dostatni i możny
I krzywdy mojej nie będziecie chcieli.

BANER.

Ja krzywdy waszej? całém mém staraniem,
Szlachetny mistrzu, będzie dobro wasze.
Za rok i kwartał część trzecia przyrośnie,
A może nawet więcej się okroi.
Rozległe sprawy mojego przemysłu
Ogromne zyski nieraz napędzają.

WIT STWOSZ.

Pieniądz ten, pracą uczciwą zdobyty,
Przeznaczon został na posag dla córki
Mojój jedynój.

BANER.

Niech Bóg błogosławi
Waszym zamiarom, mój szlachetny mistrzu!
Raczie zaszczycić dom mój swą osobą,
Tam obejrzycie mój sklep i tam także
Pieczęć wycisnę na waszym obligu.
A teraz do stóp upadam w pokorze,
Bóg z wami, panie!

WIT STWOSZ.

Żegnajcie mi zdrowi.

(*Baner odchodzi. — Wit Stwosz siada zamyślony, nie widząc obecnych.*).

Z rannym skowronkiem zrywam się do pracy
I praca moja nie idzie na marne.
Okrag mój wiedzy coraz się rozszerza,
Myśli dojrzały i w czyn biegną hyżo.
Dobrze mi tutaj wśród tych ludzi, którzy
Miłośnie garną wszystkie moje dzieła.
Zawisć niegodna zda się już ucichła;
Poznały wrogi żem dąb niepożyty
I zęby sobie można złamać o mnie,
A nie wyszczerbić—dano mi więc pokój.

(*Spostrzega Beatę.*).

Ty tu, Beato? i tak cicho stoisz?

BEATA.

Nie śmiałam przerwać twoich marzeń wątku.

WIT STWOSZ.

Pójdź tu, dziewczeczko; co tam masz za ziele?
A oczy we łzach.

BEATA.

Przypatrz-no się, ojcze,
Widziałeś kiedy tutaj w Norymberdze
Rutę, rozmaryn i to boże drzewko?
Nasze to kwiaty, w nich jest Kraków cały,
Łzy i nadzieje i wspomnienia szczęścia,
Bo to są kwiaty z naszego ogrodu.

WIT STWOSZ.

Biędna Beato! ta tęsknota twoja
Psuje nam życie. Nigdy nie powitasz.
Ojca radością, zawsze tylko smutkiem.

BEATA.

Przebacz mi, ojcze! Cóż jam winna temu,
Że tam zostały wszystkie moje myśli
I twarz wesółą, i ma radość wszystka?
Tutaj mi ciasno, tu duszno straszliwie!..

WIT STWOSZ.

To są chimery rozmarzonej głowy.
Czegóż ci brak tu? Masz świat i masz ludzi
Bogdaj nie gorszych, a jest lepszych wielu.

BEATA.

Ci ludzie wszyscy, cóż oni dobrego
Dali nam dotąd? zgryzoty i troski,
Siwizną włosy przypruszyli twoje.

WIT STWOSZ.

Siwizna przyszła z pracą i z lat biegiem;
Tam jeszcze wcześniej byłbym jęj doczekał.

BEATA.

Tam cię kochali, tam cenili wielce,
Jako ku słońcu garnąc się ku tobie.
Tu, cóż masz, ojcze? chłodny podziw tylko
I zawiść skrytą, co się czołga w cieniu.
Wracajmy, ojcze! Wszakże nam mawiałeś:
Kiedy zdobędę rozgłos i majątek,
Zbogacę wiedzę—wrócimy do domu.
Już masz to wszystko. Wracajmy, mój ojcze!

WIT STWOSZ.

Przestań, Beato. Powrócimy wtenczas,
Gdy będzie pora—jeszcze nie nadeszła,
A dla kaprysu nie mogę poświęcić
Duchowych celów i mych planów wielkich.

BEATA.

Tak naszój matce, pamiętam, mawiałeś,
A ona tylko łzy tłumila skrycie...

WIT STWOSZ (z gniewem).

Zamilcz, nieszcześna!

BEATA (łkając).

Milczę, ukorzona

Przed tobą. Przebacz, przebacz, ojcze drogi!

WIT STWOSZ (po chwili z uczuciem, biorąc ją w objęcia).

Niedobre dziecko! dlaczego mnie ranisz

Tém przypomnieniem?

BEATA.

O, przebacz mi, przebacz!

Już nigdy o niém nie napomknę... nigdy!

Żyj tu szczęśliwy, spokojny, kochany...

Twoja Beata zostanie do śmierci

Przy tobie, ojcze.

WIT STWOSZ.

O tak! przy mnie zawsze,

Boś ty jest skarbem najdroższym w mém życiu!

Ojciec twój kocha cię, sieroto moja.

BEATA.

Kochasz mnie, ojcze?... więc nie odmów prosbie

Jedynéj córki.

WIT STWOSZ.

Jakiéjże to prosbie?

BEATA.

Nie wierz, nie ufaj temu człowiekowi,

Który ztąd wyszedł. Zły to duch go nasłał.

Albrecht w pół żartem, w pół prawdą zapragnął,

Aby mu piekło nasłało Judasza

Do płaskorzeźby, którą już wykończa—

I ledwie słów tych domówił—gdy nagle

Stanął przed nami... I tyś mu zaufał,

Mienie mu całe powierzyłeś swoje,

A on cię zdradził...

WIT STWOSZ.

Rozmarzone dziecko!

Człowiek którego bierzesz za Judasza,

Uczciw i zacny; to zamożny kupiec.

Widzisz jak twoje urojenia płonne.

Oboje wrogów dostrzegacie wszędy

I wyobraźnią stwarzacie dziwadła,

Niewdzięczni ludziom, którzy nam dobrego

Tak wiele świadczą. Idź do swéj komnaty,

Zajmij się pracą, co gosposi czeka,

Ponure myśli powypędzaj z główki

I bądź spokojną.

BEATA (*całuje go, odchodząc*).

Już będę, mój ojciec.

WIT STWOSZ (*rozwijając zwitek papieru, który miał w ręku*).

Za rok i kwartał część trzecia przyrośnie

Czemuż nie, człek to w obrotach pienię .dzy

Wycwiczon dobrze; rosną w jego ręku,

U mnie zaś w pleśni leżałyby martwe.

(*Przygląda się papierowi*).

Wystawił rewers nieczytelnie bardzo;

Braknie mi wprawy w czytaniu ich pisma.

ALBRECHT.

Zabrał pieniądze—zostawił ci zwitek.

WIT STWOSZ.

Zwitek zostawił, ale na tym zwitku

Położył swoje imię i nazwisko,

I poręczenie, i uczciwość wszystką.

Zwitek ten waży więcej niż pieniądze,

Bo dobre imię uczciwego człowieka.

ALBRECHT.

Papier rzecz martwa i cierpliwa wielce,

Więc można na nim kręślić takie myśli,

Które są maską tych co w duszy skryte.

WIT STWOSZ.

Uknułeś znowu głupią baśń w swój głowie

I przestraszyłeś łatwowierne dziecko.

ALBRECHT.

Na końcu baśni prawda się zamyka.

WIT STWOSZ.

Prawd twych nie żądam, marny krótkowidzu,

Co po omacku błędzisz między ludźmi.

Ja widzę prawdę i tam właśnie tylko,

Gdzie ty fałsz wietrzysz. Dlatego że jeden

Mizerny kramarz staje mi na drodze,

To mam potępić cały naród, który

Jest mi życzliwy?

ALBRECHT.

Kramarz ten porusza
Wszystkiemi niemi co tu wiązą ludzi.

WIT STWOSZ.

Niechaj porusza—ja stanę do walki
I zmiażdżę wszystkich, jak jego zmiażdżyłem.

ALBRECHT.

Tylko ich sideł nie wyminiesz matni.

WIT STWOSZ.

Ich sideł? jakich? Idę wprost gościńcem..

Życie me jasne i czyste jak słońce.

Nikomu krzywdy nigdy nie zrządziłem,

O tłum zaś mało troski sobie daję,

Zajęty dziełmi i mą sztuką cały.

Jakichże sideł, za co i od kogo

Mam się obawiać? Stokroć więcej twoje

Płonne widzenia, fałszywe domysły,

Które ci niby twa przychylność dla mnie

Każę wysnować, zatruwają życie

I mącą spokój. Naglisz do powrotu

I w młodej główce mojego dziewczęcia

Siejesz wciąż trwogę. Wracaj-że mi z Bogiem,

A ja tu radzić i bez ciebie mogę.

ALBRECHT (*silnie poruszony, wstaje od pracy, którą dotąd
był zajęty*).

Do tegoż przyszło! Boże mój jedyny!

Tak ciężkiej krzywdy nie tuszyłem doznać

Od ciebie, Wicie.—O straszną, bolesną

Ranę-ś mi zadał! Co się z tobą dzieje?

Brat-że to mówi, przyjaciel mój stary?

Mój wzór, mój ojciec, wiara ma, natchnienie?

Niéma, o niéma już dawnego Stwosza!

Tak-że to prędko starli z ciebie barwę

Onę skromności, którą nam świeciłeś!

Gdzie wiara święta, z którą-ś szedł przez życie

I nim do dzieła-ś przystąpił, wprzód w modłach

Zmywałeś pyły ziemskich uczuć wszystkich.
 Dziś cały-s zagrzązł w mamonie i pysze,
 W mieszku-s uwięził swoją duszę świętą,
 A iskrę Bożą pożarła namiętność
 Bogactw i sławy.
 O wróć się, mistrzu, z przepaścistej drogi.
 Bo runiesz w otchłań!..

WIT STWOSZ.

Małoduszny człeku!

Kiedy świat cały budzi się i zrywa
 Do dzieł olbrzymich, tybys chciał, bym drzémał
 I siadł za piecem? Pychą mienisz cnotę,
 Co mnie prze naprzód i tworzyć mi każe!..
 Duch ludzki, zdawna kępowań ciemnotą,
 Powstaje silny—otrząsa kajdany,
 Odkrywa światy—mierzy gwiazdy, słońca,
 A ja mam patrzeć na to obojętnie
 I nie wziąć głosu w tym wspaniałym chórze,
 Co ludzkość cała z piersi go dobywa?
 I to jest pychą, to jest zbrodnią całą.
 W mieszku, powiadasz, duszę-m zamknął?.. Kłā-
 [miesz!...

Mieszek jest dźwignią do wielkich zamiarów
 Które wykonam. Już nie obstalunki,
 Jarmarczne dzieła stwarzać odtąd będziem,
 Ale te tylko, co się z ducha rodzą.

ALBRECHT.

Więc duch twój drzémał, gdyś rzeźbił ołtarze?
 Drzémał, gdyś królom sarkofagi stawiał?
 Gdyś dla Sebalda tworzył posąg piórem,
 A smukle wieże swego cyboryum
 Zakończył w niebie? Czyż te wszystkie dzieła,
 Z których natchnienie Boże światłem bije,
 W drzémcie powstały? Czegoż szukasz jeszcze?
 Chcesz biedz kolejną nowych myśli? Zostaw
 Tę pracę innym—ty jej nie podolasz;

Ty ducha swego nie wdrożysz w tę kolęj,
Bo mu jest dana z góry droga inna.

WIT STWOSZ.

Mierzysz mnie miarą swych maluczkich pragnień,
Chciałbyś bym zamknion, jak ślimak w skorupie,
Zerwał ze światem wiedzy i rozumu
I wdziawszy na się szaty pokutnika,
Nie żądał, nie brał niczego, prócz chleba.
Większe od chleba są żądze, mój bracie,
Ty ich nie, pojmiesz, bo poziomem kroczysz.

ALBRECHT.

Wybaczam słowa, bo one słowami
Tylko... nie więcej.

WIT STWOSZ.

Słowa idą z myśli.

Wiem że cię Kraków pociąga ku sobie,
Lecz cóż ja miałem robić w tym Krakowie?
Miałem swój zawód w połowie zakończyć,
Na Maryackim ołtarzu poprzestać,
A potem strugać tylko ławy, stolki
Dla jasnych panów, ubierać im odrzwia,
Robić klęczniki?.. bo na nic innego
Ich płytki rozum zdobyć się nie może.

ALBRECHT.

A jednak umiał zdobyć się na Stwosza.

(Po chwili milczenia).

Przyjdzie czas, Wicie, gdy syty już sławy,
Zapagniesz bratnich dłoni i miłości,
Zapagniesz ciepła, które daje tylko
Gniazdo rodzinne... gdy porwan tęsknotą,
Będiesz chciał wrócić do onego gniazda.
O, nie daj Boże, byś je wówczas stracił,
Bo najstraszliwszą z boleści człowieka
Jest opuszczenie w starości—tęsknota!
Młody nadzieją krasi ją, lecz starcem

Owłada silnie, aż go w grób położy.

(*Mocne pukanie do drzwi*).

WIT STWOSZ.

Dosyć już o tém—idź i zobacz kto to.

(*Wchodzi MIKOŁAJ*).

MIKOŁAJ.

Sławetny rajca Tucher i pan cechmistrz

Proszą o wnijscie.

WIT STWOSZ.

Poco ci szalbierze?

W sali ratusza miejsce na rozprawy.

MIKOŁAJ.

Niedobrze z oczu patrzy tym ludziskom

I z niczém dobrém nie przyszli tu, ręczę.

ALBRECHT.

Wiem poco przyszli.

WIT STWOSZ.

To idź-że im powiedz,

Że dom mój nie jest miejscem burd i kłótni,

Lecz miejscem pracy.

ALBRECHT.

Nie unikniesz, Stwoszu,

Tego kielicha pełnego goryczy.

W sprawie cyboryum przychodzą do ciebie.

WIT STWOSZ.

To na ratuszu załatwię się z nimi,

Niech progu mego te cmy nie kalają.

(*Głos Tuchera za sceną i silne pukanie, laską w podłogę*).

Antoni Tucher domaga się wnijscia,

W imieniu rady.

WIT STWOSZ.

Odział się, jak płaszczem,

Imieniem rady—niechże ten płaszcz wejdzie.

(*Mikołaj otwiera drzwi; wchodzią TUCHER i STEINBAUER*).

TUCHER.

Trzeba zdobywać twoje drzwi, mój mistrzu.

WIT STWOSZ.

Kto w imię Boże chce wstąpić w me progi,
Ten drzwi zdobywać nie będzie; a potem
Godziny moje niezawsze są wolne.
Czego żądacie?

TUCHER.

Bądźcie mniej skwapliwi
I sięć pozwólcie, rozpatrzeć roboty.
(*Siada, wraz ze Steinbauerem*).

WIT STWOSZ.

Czas mój jest drogi.

TUCHER.

Widzę to po dziełach,
Których obfitość macie w swój pracowni.
Pewnie na jarmark frankfurcki je szlecie.

WIT STWOSZ.

Prac swych na jarmark nie posyłam nigdy
Dla lichój tłuszczy—macie innych na to.

TUCHER.

Tylko dla panów tworzycie swe dzieła?

WIT STWOSZ.

Dla wszystkich, co je ocenić potrafią.
Lecz raz chcę wiedzieć...

TUCHER.

Zanim przystąpimy

Do głównej treści, mam was się zapytać,
Ile żądacie za krucyfiks z drzewa,
Coście zrobili do izby ratusza?

WIT STWOSZ.

Nic zań nie żądam; jest darem dla miasta
Od Wita Stwosza.

TUCHER.

Wspaniały dar bardzo!

I rada wdzięczność wam wynurza swoje.
Lecz tak dalece być wam pobłażliwą
Nie może znowu, by nie stać przy prawicie



Jeśli zuchwale naruszać je śmięcie.

WIT STWOSZ.

Ja prawo łamię?... cóż za nowa napaść?

TUCHER.

Nie dotrzymałeś nam umowy, mistrzu,

Nie wystawiłeś cyboryum takiem,

Jakiem pierwotny plan nasz je mieć żądał.

STEINBAUER.

I jakby iście przez szyderstwo jakieś,

Skrzywiono wieże przy samym suficie.

TUCHER.

Rada więc żąda przywrócenia dzieła

Do stanu, w jakim miało być pierwotnie.

WIT STWOSZ.

Życzenia rady tym razem nie spełnię.

Pracę swą zniszczyć mogę jednej chwili,

Ale poprawić.. nie chcę i nie mogę.

TUCHER.

Pocóż skrzywienie, które psuje całą

Harmonię dzieła? Trzebaż było lepiej

Obliczyć siły i dobrze wymierzyć

Całą wysokość, by stały czyste.

WIT STWOSZ (*z szyderczym uśmiechem*)

Zacny mój rajco, nie pojmujesz myśli,

Którą złożyłem w tym symbolu właśnie,

Że duch zamały, by nad Boga wzbił się;

Bo wyciągnawszy śmiało w górę wieże,

Z umysłu zgąłem je aż pod sklepieniem,

Nie mogąc pnać się niemi jeszcze wyżej.

Zwalcie sklepienie, a sprostuję wieże.

STEINBAUER.

Toż wbrew wszelkiemu zwyczajowi w sztuce,

Wbrew jej zasadom...

WIT STWOSZ.

A gdzież to jest statut,

Coby nią rządził? Ona nieskończona.



Świat zestarzeje i umrze zgrzybiały,
A ona jedna będzie młodą zawsze,
Bo z nieśmiertelnej krynicy się czerpie.
Czy to wy może, szlachetny cechmistrzu,
Chcecie jej swoje formy przepisywać?

STEINBAUER.

Chcę stać przy prawie, które nam od wieków
Bractwa nadały, i obronić sztukę
Od nowatorów napaści zuchwałej.

WIT STWOSZ.

Od nowatorów chcesz uchronić sztukę?
To nad twe siły, mój zacny cechmistrzu.
Zagaś-że słońce, żeby nie świeciło,
Zniszcz gwiazdy, księżyc i przyrodę całą,
Ducha Bożego w dyby zakuj w lochu.
Dobrześ powiedział: jam jest nowatorem,
Ale ta nowość, to jest duch młodzieńczy,
To siła twórcza, która wiecznie młoda
I świeża zawsze. Zagrzeźlonych w utartęj
Formule starój, duch ten razić musi.
Idź, mój cechmistrzu, idź do kramów swoich!
Nie już wspólnego niema między nami.
Możesz swe wielkie reguły i prawa
Między czeladzią swoją zaprowadzać,
Ja nie należę do was.

STEINBAUER.

Tu osiadłeś,

Jesteś tutejszym mieszkańcem uznany,
Tu zarobkujesz, więc musisz podlegać
I prawom naszym.

WIT STWOSZ.

Byle nie w méj sztuce;
Ona praw waszych nie znosi nad sobą,
Ani ustawom żadnym nie podlega.
Nad lichą swoją kramarszczyzną stawcie
Prawa, ustawy—lecz odemnie... wara!

Ja tylko jeden odpowiem za pracę
 Mojego dłuta.—Wolno wam je uczcić,
 Odrzucić wolno... ale praw stanowić
 Nigdy!

TUCHER.

Jesteście dumnym i zuchwałym, mistrzu,
 Nie przyjmujecie rad od ludzi zacnych,
 Znających sztukę, a sami grzęźnicie
 Wniedoścignionych, niepodobnych pracach.

WIT STWOSZ.

Od równych sobie chętnie przyjmę rady.
 Ja się nie mieszam do waszych spraw miejskich,
 Bom w nich nie biegły.—Czemuż wy zuchwale
 Patrzycie w moje?

TUCHER.

Więc niewolno radzie
 Położyć *veto*, gdy się prace wasze
 Nie podobają?

WIT STWOSZ.

Nie! wolno jęj tylko
 Zebrać sąd biegłych, sąd złożony z mistrzów
 Równych mi w sile.—Niechaj ich sprowadzi
 Z Lubeki, Wiednia, Frankfurtu lub Bremy;
 Ci niech osądzą pracę moję społem,
 Ich wyrokowi poddaje się chętnie.

STEINBAUER.

To zadaleko:—ma i Norymberga
 Swych biegłych mistrzów, co wam zrównać mogą.

WIT STWOSZ.

Zapewne wasi czeladnicy, panie?

STEINBAUER.

Tak, czeladnicy, którzy ryczałtowo
 Nie chcą pracować przy waszym warstacie.

WIT STWOSZ.

Bo mógłbym tylko za uczeni ich przyjmąć:

TUCHER.

Dosyć już, mistrzu; sprawuję poselstwo,
A nie przyszlśmy kłócić się tu z wami.
Jakąż odpowiedź zanieść mamy radzie?

WIT STWOSZ.

Jużem ją wyrzekł. Chcecie zburzyć... zburzę,
Ale poprawić swój pracy nie mogę.

(*Głos Vischera za sceną*).

Pan w domu?

(*Głos Mikołaja*).

W domu.

Wchodzi prędko VISCHER, za nim KOHLER.

VISCHER.

Wicie! Wicie! Wicie!

Ty łask fortuny oblubiencze szczęsny,
Najprzód pójdz tutaj i uścisk mi daruj,
A potem w nowy kabat się przystrajaj
I wymieć wszystkie śmiecie z twego domu.
Tyś dzisiaj człowiek, na którego oczy
Wszelakich Niemców obrócone patrzą.

WIT STWOSZ.

Drogi mój Piotrze, twoja twarz pocziwa
Zawsze mi radość do domu przynosi.
Z czémżeś dziś przybył? Witajże serdecznie.

VISCHER.

O nic nie pytaj, tylko się przybiéraj
I wymieć śmiecie.

WIT STWOSZ.

Spełnię co do joty
Wszystko co każesz—ależ mi wprzód powiedz...
A i sławetny pan Kohler zaszczyca
Swojego sługę. Jakże wam rad jestem!

KOHLER.

Ja wzajem, mistrzu.

WIT STWOSZ.

Przebaczyć racycie,

Żem was przeoczył przez tego szaleńca,
Bo mnie stumanił.—Siądźcież, zacni goście.

KOHLER.

Z radosną wieścią śpieszymy do ciebie:
Za nami w tropy niebawem przybędzie
Gość arcywielki, bo król portugalski,
Który od wczoraj bawi w naszym mieście,
Podziwiał prace i chce poznać mistrza.

VISCHER.

Król Emanuel, orędownik sztuki,
I znawca wielki, wielbiciel.

STEINBAUER (*n. s.*)

Przekłęcie!

VISCHER.

Przygotuj-że się na jego przyjęcie.
Czasu masz mało, bo zanim Ojciec-nasz
I Zdrowaś zmówim, już on tutaj stanie.

TUCHER.

Tak wielki zaszczyt nie spotkał żadnego
Z mistrzów tutejszych; nie przynieście-ż ujmy
Naszemu miastu i przyjmcie-ż go godnie.

WIT STWOSZ.

Nie pierwszy raz to w progi domu mego
Wchodzą królowie. Bądź spokojny, panie,
Wiem co należy tak wielkim, jak małym.

(*Do Albrechta*).

Idź do Beaty, niechaj się przystroi
I przygotowuje chleb i sól na misie;
Przyjmiem go w progach, jak obyczaj każe.

(*Do Kohlera i Vischera*).

Wy, zacny panie, i ty, mój Vischerze,
Jesteście zawsze zwiastunami dla mnie
Szczęśliwych godzin. Siadajcie-ż mi, proszę,
I odpocznijcie, bo wyście zarówno
Drogimi dla mnie, jak ten co przybywa.

KOHLER.

Wdzięczni-m ci, Stwoszu; lecz nie zważaj na nas,
Zajmij się sobą.

WIT STWOSZ.

Raczież mi przebaczyć,
Że was na chwilę samych pozostawię.
(*Odchodzi*).

VISCHER.

Czy mnie wzrok myli, czyli téż w istocie
Pan cechmistrz owdzie, bo podobny bardzo.

STEINBAUER.

Jam to, Vischerze.

VISCHER.

A dalibóg, prawda!
Niechże mi święty Marek błogosławił
Toż ja was wzięłem za jeden z posągów
I myślę: Kaifasz czy téż Piłat poncki
Taki podobny jest do Steinbauera...

STEINBAUER.

Żarty nie w porę.

VISCHER.

Ja-bo nie żartuję.
W tym lesie figur wyscie znikli całkiem.
Lecz cóż to, zgoda stała już z Witem,
Żeście dom jego nawiedzić raczyli?

STEINBAUER.

Zgoda z człowiekiem co nami pomiata?..
Przyszliśmy tylko w interesie rady,
Ale żałuję, bo prędzej podobno
Kamień poruszyć, niż uporną głowę.

TUCHER.

Mieliśmy właśnie odejść, oburzeni
Jego zuchwalstwem i pychą szaloną,
Gdyśmy zdybali was i z tą nowiną.

STEINBAUER.

Po tym splendorze wcale niespodzianym

Podniesie głowę o łokieć do góry
I patrzeć na nas nie zechce już więcej.
To miecz do ręki dany szalonemu!

TUCHER.

Dziwię się wielce, że na razie który
Z rajców lub burmistrz stateczną przemową
Nie odradzili tych dziwnych odwiedzin,
Które nam ujmę tylko przynieść mogą.
Człek ten nie umie hamować języka.

VISCHER.

Gromy siarczyste, burze, błyskawice!
Tożbyście w łyżce wody go utopić,
Połknąć go radzi. Słuchając was obu,
Może się zdawać że Wit Stwosz to zwierzę
O siedmiu głowach.

STEINBAUER.

Gorzój od zwierzęcia.

KOHLER.

Poznałem dobrze mistrza Wita Stwosza:
Dusza w nim czysta, szlachetna i prawa.
Ma on i dumę, ale dumę zacną,
Która na wodzy trzyma tak zawistnych,
Jak i złośliwych.

VISCHER.

Dobrzeście wyrzekli.

TUCHER.

Zatém się składa, że i nas obydwóch
Do owych ludzi zaliczacie, panie?

KOHLER.

Nie wymienilem nikogo z nazwiska.

VISCHER.

Wiem co wam serce jadem trucizn pali:
Oto dzisiejsza porażka przez dziewczę,
Co jak cherubin z mieczem płomienistym
W świątyni murach rogów wam przytarła.
Ty, cny cechmistrzu, z gębą pełną żółci,

Którąś obryzgać już miał Stwosza pracę,
 Aniś się spodział, że z po za filara
 Wynijdzie dziecko, co cię upokorzy
 I dzieło ojca przed największym z królów
 Jeszcze świetniejszym blaskiem przyodzieje.
 Sam Bóg to zrządził. Schowaj miecz do pochwy
 I zatnij zęby, bo tu nic nie nada.

STEINBAUER.

Choćby stu takich jak wy miał krzykaczów,
 To przekonania mego nie obalą
 I wołać będę póki sił mi stanie,
 Że podjął pracę, której jest niezdolen.

(Odchodzi, wraz z Tucherem).

VISCHER.

Dziwna natura lepi dziwolągi!
 Człek to był skromny, spokojny i cichy,
 Dość mądry w radzie i rzemieślnik dobry...
 Aż naraz pycha wylęła się w sercu
 I zajrzy wszemu co ma wartość jaką.
 Zaniebął pracy, a oddał się cały
 Czarnej zawiści. Z tłuszcza rzemieślników,
 Ciemnych jak on sam, układa paszkwile,
 Krzywdzące wieści rozsięwa o Stwoszu,
 Dnie całe trawi, by go gryźć językiem;
 Ale nareszcie dziś mu go przycięto,
 Bo po tej cudnej porażce w kościele
 Wyśmiany będzie, jeśli się z czém wyrwie..

KÖHLER.

Zły-to człek z gruntu, przebiegły a chytry,
 I wielki mir ma pomiędzy swoimi,
 A cni rajcowie chętnie dają ucha
 Jego poszeptom.

VISCHER.

Jam mu zapowiedział,
 Że u mnie młoty nietylko na spiże.

KOHLER.

Co młot poradzi, tam gdzie kret nurtuje?

(*Wchodzi STWOSZ, przybrany w świąteczne szaty; za nim
BEATA z chlebem i solą i czeladź*).

WIT STWOSZ.

Jesteśmy...

(*Postępują ku drzwiom, które się niebawem otwierają i wchodzi król EMANUEL, w otoczeniu dworu swego, rajców i burmistrza*).

KRÓL.

Mistrzu! W przejeździe przez Niemcy,

Na Norymbergę droga nam wypadła.

Tu nie mogliśmy oprzeć się zachceniu

Aby obejrzeć tyle świątyń Pańskich,

Sławionych w cuda, jak i w wielkie dzieła.

Pełni podziwu, pragnęliśmy także

I mistrza poznać — będziecież nam radzi?

WIT STWOSZ.

Panie potężny! królu miłościwy!

Ten wielki zaszczyt, jakim mnie dziś darzysz,

Stwierdza rozgłosną sławę twą po świecie

Oredownika, opiekuna światła.

Będę szczęśliwym, gdy mnie niegodnego

Do wiernych swoich sług policzyć raczysz.

Oto, zwyczajem mojego narodu,

Przyjmuję ciebie, miłościwy panie,

Tu w progach moich tym chlebem i solą,

Na znak, że mienie, życie i usługi

U nóg twych składam.

KRÓL.

Dziękuję wam, mistrzu!

(*Siada*).

Wyscie tu obcy?

WIT STWOSZ.

Tak, jestem Polakiem.

KRÓL.

Cóż was skłoniło opuścić swą ziemię?

WIT STWOSZ.

Kraj mój nawiedzany wojną i pożogą,
Ziomkowie moi zakuci w żelaza
I z mieczem w dłoni muszą stać na straży
Przed bisurmaństwem, co się w kraj nasz wdziera,
A tam gdzie dach jest niepewny nad głową,
I kunszt nadobny krzewić się niezdolen.
Burza wre ciągle i w jednym z pożarów
Straciłem mienie i dobytek cały,
A później żonę i dzieci mych troje.
Z rozpaczą w duszy opuściłem gród swój
I tu osiadłem.

KRÓL.

I nie żałujecie?

WIT STWOSZ.

Tęsknota ciągnie do rodzinnej strony,
Lecz miłość sztuki przykuwa do miejsca.

KRÓL.

Szczśliwa wielce wasza Norymberga,
Że ma takiego mistrza!

(*Wstaje i rozgląda się po pracowni.*)

Wszystko posągi. Zrazuśmy je wzięli
Za żywych ludzi, taką prawdą ludzą.
Nie marnujecie czasu, mistrzu. Czy to
Są zamówienia?

WIT STWOSZ.

Niektóre z nich tylko.

KRÓL.

Ta święta z lirą—zda się to Cecylia,
Ileż wyrazu Boskiego ma w sobie!
Nieziemską postać, a jednak prawdziwą.
Misterne dzieło! Każdy rąbek szaty,
I układ ciała, i wyraz jęć cały
W jedną precudną harmonią się zléwa.

Széroko władasz swoją sztuką, mistrzu!
W kościołach widzę siłę, myśl, natchnienie;
Tutaj wdzięk cudny, z świętością zespolon.

WIT STWOSZ.

Praca ta nie jest dziełem mojej ręki;
Skromny pracownik dokonał jój u mnie,
Mój brat po duchu i pomocnik.

KRÓL.

Znaku

Nie widzę tutaj—czy niewykończona?

WIT STWOSZ.

Już wykończona, lecz znaku i miana
Nie kładzie nigdy—tak ślubował sobie.

KRÓL.

Geniusz z pracą, odziane skromnością!
Pięknie, zaiste!.. Szanujemy wielce
I te pobudki, i mistrza samego.

(Przechodzi dalej).

Tu znowu inna do ócz nam się rzuca.
Jakaż to piękna, pełna prawdy grupa!
Co ona znaczy?

WIT STWOSZ.

Pierwotni rodzice,

To Adam z Ewą.

WIT STWOSZ.

Ależ one żyją,

Zda się przemówią(*). Krew tętni pod skórą,
Piersi im dyszą—istne cuda sztuki!

WIT STWOSZ.

Udziel-że, panie, tego szczęścia słudze
I pozwól, bym ci owe dzieła złożył
U stopni tronu.

KRÓL.

Więc one do zbycia?

(*) Historyczne.

WIT STWOSZ.

Wszystko co widzisz, miłościwy panie,
Jest do twych usług.

KRÓL.

Ja nateraz pragnę
Zatrzymać tylko grupę i tę świętą.
Biorę je z sobą, a na przyszłość będę
Prosił o inne.

WIT STWOSZ.

Rozkazuj mi, władzco!

KRÓL.

Raczie oznaczyć ceny tych dzieł obu.
A mój podskarbi natychmiast wypłaci.

WIT STWOSZ.

Jesteś mi gościem, miłościwy panie!
Polskie przysłowie oddawna powiada,
Że gość w dom—Bóg w dom. Jako więc dla Boga,
Tak i dla gościa oddaje się wszystko.
Nie krzywdź-że, panie, odmową mnie swoją
I uszczęśliwić racz przyjęciem dzieł tych.

KRÓL.

Nie chciałbym zmartwić was odmową, mistrzu;
Lecz wzamian proszę, raczie przyrzec święcie,
Że odwiedzicie wkrótce mą stolicę.

WIT STWOSZ.

Jeśli zażadasz, miłościwy panie...

KRÓL.

Piękna Beato! niedawno tak jeszcze
Wymowna, czemuż teraz nie raczycie
Ni jedném słowem udarować gościa?

BEATA.

Gdzie serce pełne, tam usta bez mowy.
Patrzeć się tylko mogę na was, panie,
Bo po raz pierwszy widzę wielkość szczytną.

KRÓL.

Zbliź-no się, dziecko, i mów jak w kościele;

Niech przez majestat nie stracę u ciebie
Owój szczérości i prawdy głębokiej.

BEATA.

Wielkość istotna ma tę cechę właśnie,
Że serce ludzkie zjednywa odrazu.
Gdyby nie twoje szlachetne oblicze
I wzrok twój prawy, miłościwy panie,
Nie byłabym się ośmieliła nigdy
Wystąpić sama przed tak liczném gronem.

KRÓL.

Zaszczyt przynosisz ojcu swemu wielki,
Jak bohaterka bronisz jego sprawy.

WIT STWOSZ.

Nie wiem o niczém.

KRÓL.

Bo tak bywa zawsze:

Prawa zasługa nie chępi się z czynów.
Ona w obronie waszój staje mężnie
I myśli wasze przedziwnie tłumaczy.
(Zdejmuje bogaty pierścień i daje go Beacie).
Oto pamiątka twojego zwycięstwa!
Niech ci przypomni przyjaciela we mnie,
A potem... może do zaręczyn służyć.

BEATA.

Pamięć o tobie, miłościwy panie,
Do końca życia naszego trwać będzie,
Bo takie gwiazdy zjawiają się tylko
Raz przez wiek cały.

KRÓL.

Żegnamy was, mistrzu,

Bo sprawy państwa czekają nas jeszcze
I nie dozwolą korzystać mi więcej
Z waszój rozmowy. Lecz wynoszę od was
Miłe uczucia, jakie dają zawsze
Cnota i skromność, z talentami społem.
Bywajcie zdrowi! Ale mam nadzieję,

Że się zobaczymy wszyscy nieza długo.

Bóg z wami, Stwoszu!

(*Stwosz przyklęka i całuje podaną sobie rękę. Beata podobnie*).

Bądź zdrowa, Beato!

Nieś ojcu swemu pociechę. Żegnajcie!

BEATA.

Niechaj Wszechmocny ma was w Swój opiece,

O wielki królu!

(*Król odchodzi, za nim dwór, rajcy i burmistrz, Vischer i Kohler*).

WIT STWOSZ.

Zdumienie i radość

Tak mną owładły, żem cały zatopion

W tobie, Beato, zapomniał o gościu.

Jakąż to chlubę ojcu swemu niesiesz!

Tłumaczysz dzieła i w obronie stawasz;

Gdzież to i kiedy? (*Wchodzi Albrecht*).

BEATA.

W kościele Wawrzyńca.

ALBRECHT.

Ty się ostatni dowiadujesz o tém,

Czém całe miasto tętni od poranka.

Toż cna Beata wyłożyła symbol

Twego cyboryum przed królem w kościele.

I tém cechmistrza, który ciskał na cię

Strzały zarzutów, przybiła do ziemi.

WIT STWOSZ.

A więc i cechmistrz był obecny także?

I on śmiał jeszcze przyjść tu po to właśnie,

Aby powtórzyć tę napaść?

ALBRECHT.

Nikczemny!

Ale dwa razy dziś porażon srodze;

Bo gdy tu z grotem zawiści pośpieszał,

Przybycie króla w proch go rozmiądzęło.

WIT STWOSZ.

Pójdź tu, Beato, córko moja droga!
Ten przymus już mi dławił dosyć serce,
Gdym musiał tłumić uczucie dla ciebie
Wobec uczciwych, lecz obcych mi ludzi.
Zkądże umiałaś tak czytać w méj myśli?

ALBRECHT.

Krzywdzisz ją, Wicie, tém pytaniem swoim.
Ona odczuwa każdą piękność w dziele.
Nim skończę pracę, zawsze się jój radzę,
A sąd jój zdrowy nie zawiódł mnie nigdy.

WIT STWOSZ.

Dziewczyno droga! Więc jeden skarb jeszcze
Odkryłem w głębi twojej pięknej duszy.
Nie znalazłem dotąd własnej córki swojej.

BEATA.

Nie żał się, ojczu. Ty, sztuką zajęty,
Nie mogłeś wglądać w wszystkie czyny moje.
Nieraz, gdym siadła w kątku twój pracowni,
Badałam pilnie każdy twój raz dłuta,
Zdążałam myślą, łączyłam ją z twoją.
Nieraz-em chciała pytać ciebie o co,
Alem się bała przerwać wątek pracy;
Więc jęłam badać przyczyny i skutki,
Dopókim myśli nie zbadała całej.

WIT STWOSZ.

W porę-s zbudziła me drzemiące serce,
Dla twego szczęścia jeschcem nic nie zdziałał.
Lecz chcę, Beato, odtąd życie swoje
Tylko dla ciebie w całości poświęcić.

BEATA.

Nie miej trosk o mnie, a kochaj mnie zawsze
I smutków więcéj nie skrywaj przedemną.

WIT STWOSZ.

Wiem żeś nam gwiazdą w tém życiu tułaczém,
I ty, Albrechcie—wyście dla mnie wszystkiém!

Pójdź, przyjacielu, przebacz przykre słowa,
Które nie serce, lecz żółć mi podała.

ALBRECHT.

Już ich nie pomnę, a zaledwieś wyrzekł,
Jużem ci z głębi méj duszy przebaczył.

WIT STWOSZ *(cicho do Albrechta)*.

Mą obietnicę chcę ci spełnić święcie.
Powiedz, Albrechcie, czy pora nadeszła?

ALBRECHT *(podobnie)*.

Dopóki ona sama o swém szczęściu

Nie postanowi i ręki nie poda,

To ja się nigdy na to nie odważę.

Zostaw ją jeszcze. Serca niewinnego

Poziome żądze kalać nie powinny.

Gdy ono samo zapragnie miłości,

To się upomni o ten dług należny.

Jam dla niej bratem, ojcem, przyjacielem;

Innego miana ona dla mnie nie ma:

Zrodzi się z czasem, dlatego... czekajmy!

WIT STWOSZ.

I zleż nam razem, choć w obczyzny ziemiach,

Gdy piękne słońce miłości nam świeci,

Kiedy serc tyle darzy nas przyjaźnią,

A sztuka święta uwija nam wieniec?

I czegoż chcecie? Precz te zmyry senne!

Żyjmy szczęśliwi, spokojni, bezpieczni!..

(Drzwi się otwierają i wchodzi starzec ślepy, lat 80, z długą, białą brodą, prowadzony przez chłopca lat 10-ciu).

STARZEC.

Bóg pochwalony!

WIT STWOSZ.

Na wiek wieków, amen!

STARZEC.

Jest tutaj Wit Stwosz?

WIT STWOSZ.

Jam jest. Ktoś ty, starcze?

STARZEC.

Żebak z kościoła świętego Sebalda.

(Wit Stwosz sięga do kielty).

Brzęczysz pieniądźmi? schowaj je, mój mistrzu,
 Biorę jałmużnę tylko pod kościołem;
 Teraz jam gościem, i drugim z kolei,
 A pierwszym król był potężny i wielki.
 Krańce ludzkości schodzą się u ciebie,
 Lecz jakże wązka przedziela je ścieżka!
 W imię Chrystusa, któregośmy dziećmi,
 Nie odmów-że mi kawałka swój ławy
 I wypoczynku dla mych ośmdziesięciu.

WIT STWOSZ.

Spocznij tu, starcze, i bądź mi pozdrowion.
 Oto jest napój—ot skromny posiłek,
 Pokrzep się z dzieckiem.

WIT STWOSZ.

Bóg ci zapłać, Stwoszul!

Jesteś gościnny, prawy i szlachetny,
 A w głosie twoim słyszę dźwięk serdeczny
 I czuję duszę potężną... a miękką.
(Jakby do siebie).

Tacyśmy wszyscy...

WIT STWOSZ.

Słowa twoje, starcze,

Mówią mi również, że ten kij i torba,
 To nie zbratani twoi towarzysze;
 Tyś nie żebrakiem. Powiedz-że mi, proszę,
 Co w moje progi tutaj cię przywiódło?
 Czy żadasz czego? powiedz bez wahania,
 Uczynię chętnie co będzie w mój mocy

STARZEC.

Wiele przyrzekasz—ja też żądać będę
 Rzeczy nie marnych. Oddal te osoby,
 Bo pragnę z tobą pozostać sam jeden.
(Albrecht i Beata odchodzą).

A teraz usiądź i uwieź cierpliwie
I bacznie ucho swoje w opowieści,
Którą ci prawić będę.

WIT STWOSZ.

Słucham, starcze!

STARZEC (*do dziecięcia*).

Ty, dziecię, idź i zabaw się przed domem
Z rówieśnikami.

(*Dziecię odchodzi*).

Czy nikt nas nie słucha?

WIT STWOSZ.

Nikt—zaczynajcie.

STARZEC (*po krótkim milczeniu*).

Dawne to dzieje—pół wieka minęło,
Ba i na drugą już połowę roków
Kilka nabiegło—jak do Norymbergi
Przybył młodzieniec z dalekich stron wschodu.
Gnała go sława, chęć wiedzy i sztuki,
I gdy się znalazł w tylu dzieł skarbnicy,
Gdy ujrzał ludzi, co z taką miłością
Uczcili sztukę—osiadł tu z rozkoszą.
Był sam sztukmistrzem: wyrabiał roboty
Ze złota, srebra, kości i marmuru,
A przytém dar miał przedziwny w robocie
Kół mechanicznych i tak je potrafił
Łączyć, i spajać, i ustawiać razem,
Że jedno drugim pomagały, tworząc
Ruch nieustanny.
Biegłym był także w astrologii tajniach,
Znał ruchy planet.

Udał się do cechu

I żądał pracy—dano mu ją chętnie,
Lecz jego myśli skierowane były
Do dzieła, które pieścił w duszy dawno,
A które teraz wykonać zamierzył.
Miał to być zegar.

A zégar taki, któryby nietylko
 Godziny, kwadry i minuty znaćzył,
 Lecz dnie, tygodnie, miesiące i lata.
 Pracował strasznie, bo wschodzące słońce,
 Kłócąc się z lampy dopalanej blaskiem,
 Budziło mistrza z pracy przypomnieniem
 Że i snu trzeba.
 Nikt z towarzyszy nie o nim nie wiedział,
 Wynajął bowiem w żydowskiej dzielnicy
 Odludną izbę i kryjomo robił.
 Gdy po lat pięciu uciążliwej pracy
 Zégar wykończył, zaniósł go na ratusz
 I ofiarował dla wieży bezpłatnie.
 Rajcowie z śmiechem przyjęli ten datek,
 Lecz go na próbę wystawić kazali,
 A kiedy próbę wytrzymał—na wieży
 Zégar wstawili.
 Tu się zaczęły dla biednego mistrza
 Dni pełne sławy i rozpaczey razem.
 Tłumy narodu podziwiały dzieło
 I z miast najdalszych zjeżdżano umyslnie,
 Aby oglądać ten ósmy cud świata.
 Takiego mistrza zazdrozczono miastu,
 A Norymberga pyszniła się z tego
 I słów cukrowych sypała mu mnóstwo;
 Gdy z drugiej strony czyhała nań zawieść
 I złość niegodna. Jego towarzysze
 Nim pogardzali—czyniono mu zarzut
 Spółki z szatanem... zwano heretykiem,
 Czarnoksiężnikiem.—Chciał opuścić miasto,
 Ile że listy z wielu grodów innych,
 Z Paryża, Wiednia, Madrytu, Lizbony,
 Słano mu co dnia, prosząc o ten zégar.
 Wówczas-to tłuszcza, zajadła zazdrością,
 Sprzęgła się w spółkę, by go zgubić chytrze.
 Więc gdy wyjeżdżać miał z miasta, schwytany,

Zamknięty w lochu, na tortury wzięty,
I aby nigdy nie opuścił miasta,
A swojej pracy gdzieindziej nie sprzedał,
Kazano katom oczy mu wylupić.

WIT STWOSZ.

Boże przedwieczny! to ty jesteś, starcze?

STARZEC.

Tak—ja to jestem!

WIT STWOSZ.

Tys mistrzem Adamem,

Co ów cudowny zégar tu zbudował?

STARZEC.

Milcz! nie wspominaj mojego imienia.
Adam już umarł—ja zwę się Sebaldem.
Posłuchaj dalej.—Kochałem kobietę,
Ona mnie wzajem pokochała bardzo;
Nieszczęście moje, miasto ją ostudzić,
Jak to się trafia—silniej ją przykuło.
Anielska dusza!.. Jeśli na tym biednym
Padole płaczu święci się znachodzą,
To ta niewiasta była nią nad miarę.
Ona to skrycie wywiodła mnie z miasta,
Jak małe dziecię prowadziła z sobą,
Tuląc do piersi i gojąc mi rany.
Lecz nas dognano—napadnięto w lesie,
Ją mi zabili, a mnie ranionego
Rzucono, myśląc zem ducha wyzionął.
Co się w méj piersi wówczas gotowało,
O tego język ludzki nie wypowieć...
Jak-em tam długo leżał, sam nie pomnę,
Lecz wszystkie myśli, wszystkie me uczucia
W jednym się słowie zbiegły, w słowie: zemsty!
Najprzód swe dzieło zniszczyć zamierzyłem.
Więc-em się odział w łachmany żebraka
I z całą bandą na jarmark przybyłem
Do Norymbergi. Tu-m miał przyjaciela,

Który mi miejsce wyjednał na wieży...
 Z jakąż radością wchodziłem na wschody!
 Z większą stokrotnie, niż gdym wchodził wówczas,
 Kiedym swą pracę ustawiał w ratuszu.
 Wszedłem z gorączką: zegar szedł spokojnie;
 Słuchałem kół tych—liczyłem minuty,
 Bom się nacieszyć chciał jeszcze swém dziełem,
 A gdy dwunasta wydzwoniła zwolna,
 Jednym zamachem złamałem sprężynę
 I zegar stanął.
 Zburzyłem dzieło, com je tak ukochał!
 Nikt nie jest w stanie poprawić méj pracy.
 Zwołano majstrów, lecz méj tajemnicy
 Żaden nie zbadał i nie zbada nigdy.

WIT STWOSZ.

Straszhliwe dzieje!..

STARZEC.

Jakem wszedł żebrakiem,
 Tak i wyszedłem pokryjomu z miasta.
 Długo-m się tułał, pielęgnując w duszy
 Zemstę straszhliwą.
 Wtém słyszę wieści: okropna zaraza
 Na Norymbergę spadła niespodzianie;
 Mówią że ludzie padają jak kłosa.
 Piekielna radość owładła mną całym
 I nie zwlekając, udałem się w drogę.
 Wszedłem już śmiało w bramy Norymbergi,
 Bo to już lata upłynęły wielkie
 Od owéj chwili. Siadłem przed kościołem
 I tu słyszałem wszystko.
 Jęki, i wycia, i wrzaski straszhliwe,
 Rozpacz bez granic, dzień sądu prawdziwy!
 Padało wszystko—i wielcy i mali,
 Tłumy niezmierne cisnęły się w kościół,
 Roniąc łzy skruczy i błagając Boga
 O miłosierdzie—a Pan Bóg był głuchym.

Ja tylko jeden w całej masie ludzi
 Stałem spokojny, z uśmiechem szatana,
 Bom słyszał wrogów—czułem ich przy sobie,
 Prawie-m ich widział, bo się ocięrali
 O me łachmany, jęcząc, tak jak wszyscy.
 Wtém ciało jakieś padło przy mych nogach
 Z krzykiem straszliwym. Poznałem go zaraz:
 To on był—wróg mój—majster Hans cechowy,
 Który podszezuwał na mnie młodszych braci!
 Jak tygrys dawno pozbawiony żeru,
 Chwyciłem ciało, wpilem w nie pazury,
 By je rozszarpać!.....
 Lecz kiedym uczuł zimno pod palcami,
 Słabnący oddech i rżenie w piersiach,
 Straszna mnie zgroza zdjęła i słyszałem
 Jakby głos wielki: „Ja tu sądy sprawiam!
 I ty robaku śmiesz mi stawać w drodze?
 Broń go, gdy możesz, to powinność twoja.“
 Wówczas złość znikła, a natomiast litość
 Tak wielka, silna wstrząsnęła mą duszą,
 Żem ją ratować swą biedną ofiarę.
 Więc-em ogrzewał jego skrzepłe członki,
 A miałem tykwę, w której był eliksir
 Z ziół wzmacniających, bom wina nie pijał.
 Wlałem mu do ust, i cud nad cudami!
 Umarły powstał—rzucił mi się do nóg,
 Całował stopy, zwał zbawcą i świętym,
 A z ust mych słowo jedno nie wybiegło,
 Lecz w duszy błogość stała mi się wielka,
 Bom uczuł Boga w piersi mojej głębiach.
 Więc-em i innych leczył eliksirem,
 A błogosławieństw, a dziękczynień krocie
 Sypano tłumnie na mą nędzną głowę;
 Świętym lekarzem przezwano mnie w mieście.
 Wówczas wyrzekłem: oto ci wrócono,
 Co ci wydarto... i łza, łza ogromna,

Gość niewidziany w jamach moich oczu,
Zbiegła po twarzy, i... powieść skończona.

(*Wit rzuca się na kolana przed nim*).

WIT STWOSZ.

O święty starcze! męczenniku wielki!
Daj mi dłoń swoją! (*Całuje jego rękę*).

STARZEC.

Powstań, mistrzu Stwoszu,
Boś ty dzieł Bożych wykonawca—powstań!
Choć nie widziałem twoich prac oczami,
Widzę je duchem—słyszę o nich wszędzie...
I słyszę gady, jak syczą na ciebie.
One ci zgubę chcą zgotować, mistrzu,
Już ostrzą żądla. Zanadtoś wyleciał
W obłoki, Stwoszu, by twe życie całe
Przemkło spokojnie. Znasz straszne me dzieje...
Czy wiesz dlaczego tu przyszedł do ciebie?
Chcę ci w spuszczźnie oddać pracę moję.
Długo szukałem męża, coby pojął
Myśli mych przedzę... i ciebie znalazłem.
Posłuchaj, Wicie. Światu przebaczyłem,
Bo lubo dał mi pełen kielich jadu,
To rajskich pociech również mi nie skąpił,
Nie chcę niewdzięcznym odchodzić od niego.

(*Wymuje małe pudełko*).

Oto me dzieło—tu jest model jego,
Oddaj go światu, niech mu służy wiecznie,
Dzwoniąc godziny, byle nie tak strasne,
Jakie mnie dzwonił.
Lecz to mi przyrzec musisz uroczyście,
Że Norymbergę opuścisz niezwłocznie
I w kraju Franków moję myśl uwiecznisz.
Tam lud jest dobry—tu wrogi nam zawsze,
Pókaż gołębie serca mieć będziemy.
Przyrzecz mi, synu.

WIT STWOSZ.
 Starczel...
 STARZEC.

Ty się wahasz?
 Ostatniéj woli brata nie chcesz spełnić?
 Wicie, godziny moje policzone...

BEATA (*wchodzi chwiejająca się i blada*).
 Ojcze, przyrzeknij... i uchoďmy z miejsc tych!
 Tu duchy piekieł krążą dookoła,
 Mnie tu źle bardzo... O, jak ten świat straszny!
 (*Stania się na ręce Stwosza*).

WIT STWOSZ.
 Beato! córko!

STARZEC.
 I to anioł Boży!

(Zasłona spada).

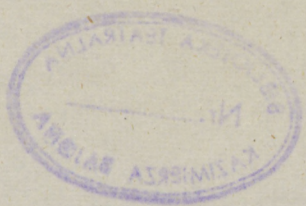


WEST-INDIAN
JOURNAL
OF
LITERATURE

By the author
Gleanings of the West-Indian
Winds and the West-Indian
By the author
These are the only two
The only two
The only two

WEST-INDIAN

THE
JOURNAL



A K T II.

Odsłona I.

Plac w Norymberdze. W głębi gotycki kościół świętego Seba-
lda. Na kościele wstawiony wielki zegar, podobny do tego, ja-
ki ma dziś jeszcze Praga. Od kościoła z jednej i drugiej stro-
ny ulice gubiące się w oddaleniu. Bliżej ku przodo-
wi sceny, z prawej aktorów, dom Wita Stwosza. Nad
drzwiami wisi znak, na którym wymalowany monogram
i napis dużemi literami: **Wit Stwosz**. Naprzeciw tego
domu z lewej winiarnia.



*Z kościoła wychodzi HEROLD, z papierem w ręku. Lud go
otacza dokoła.*

HEROLD (*trąbi trzykroć, potem czyta*).
Sławetna rada miasta Norymbergi
Do braci mieszczan i pospólstwa wszego!
Z woli niebiosów i za sprawą ludzką
Wielce biegłego mistrza Wita Stwosza,
Niebieski zegar, który stał pół wieka,
Dzisiaj dwunastą godzinę uderzy
I nadal zwykłym biegiem się potoczy.
Po uderzeniu godziny dwunastej
Hymny dziękczynne ozwą się w kościele,
By Bóg najwyższy szczęścia nam przysparzał,
A czas ten, który ów zegar wydzwoni,
Schodził w spokój, wierze i miłości!

*Odchodzi.—Słychać po chwili w oddaleniu jak czyta to sa-
mo. Z przeciwnej strony wchodzi DEICHSLER, pisarz rady
miejskiej i kronikarz miasta, figura mała, pękata, łysa,
w wielkich okularach.*

DEICHSLER.

Dziś jest dla miasta *miraculum* wielkie!
 Moja kronika, rymem opiewana,
 Szérokó skréśli *casum monstruale*.
 A chcesz-li wiedziéć, o *turba inepta*!
 Jak się narodził ów zégar niebieski,
 Który zdumioném dziś oglądasz okiem,
 Z otwartą gębą?

KOBIEĆA.

Prosim mądrość waszę.

RZEMIEŚLNIK.

Cny panie Deichsler, pochodnio światłości,
 Wždy nam powiećcie.

DEICHSLER.

Nic, dziatwo ciemnoty!

Póki tu każdy do czapki nie rzuci
 Jakiego grosza na światło w oltarzu
 Świętego Rocha, ust mych nie otworzę
 I pereł trzodzie nie cisnę pod nogi.
 Ręce w kaléty i rzucajcie grosze,
 Niechaj ma wiedza nie przepada marnie,
 Gdy ją gawiedzi takiéj publikuję.

(*Rzucają mu pieniądze do czapki*).

Wiédzcie albowiem, że te słowa moje
 Są czystém złotem z skarbnicy mądrości,
 A wy mi jeno miedź podłą dajecie.
 Tylko niech każdy piéniázek tu rzuci,
 Bo mu Roch święty, patron od zarazy,
 Trądem opsypie rękę nieuczynną.

WYROBNIK.

Jak niéma grosza, to pacierz wystarczy.

DEICHSLER.

Nie—nie wystarczy.

KOBIEĆA.

No, to trzy pacierze.

DEICHSLER.

Co kto ma, niechaj na ołtarzu składa.

WYROBNIK.

A jak nic nie ma?

DEICHSLER.

To niech da swe plecy

I dla umartwień pięć plag mu wyliczyć.

Cóż to myślicie, *animalia bruta*,

Że skarby wiedzy tak łatwo przychodzą?

A patrzcie jeno na moje łysinę...

To nad księgami ślęcząc ją nabyłem.

(*Podjeżdża czapkę*).

Ledwie świętemu na wieczerzę starczy...

Kwituję z reszty... *misera colluvies!*

Więc stańcie wszyscy tu w pokorze wielkiej

I dawać baczność na każde me słowo,

Nieleddie oddech mój chwytajcie chciwie.

(*Usuwa się z nimi ku prawej i całą tę scenę mówi wykładowo*).

I cóż myślicie, patrząc na ten zegar?

Bo spójrzcie tylko co to on przedstawia:

Mierzy godziny, dnie, miesiące, lata,

Wskazuje datę kiedy księżyc wschodzi.

Cały otoczony czarodziejskim pasem

Zodyakowym, mówi on wyraźnie

Przy uderzeniu każdziutkiej godziny,

Że teraz Baran, Byk, Bliźnięta, Ryby

I *et caetera* mają wpływ na ludzi;

A gdy się dziecko rodzi w tych godzinach,

To on już przyszłość niesie mu złowrogą,

I choćbyś nie chciał, musisz zostać wiecznie

Bykiem, baranem albo koziorożcem.

I któż to zdziałał—jakże wy myślicie,

Czy ludzki rozum podolać tu mocen?

RZEMIEŚLNIK.

Oj trudno! trudno!

DEICHSLER.

Przyznajecie?.. dobrze.

Jeśli nie człowiek—to któżby się znalazł,
 Coby miał siłę wiedzy i rozumu
 I działać pragnął na zgubę człowieka?
 He—co? milczycie—strach wam usta zamknął,
 Bo w waszym mózgu coś świtać zaczyna.
 Tak, moi ludzie, ni Boskie, ni ludzkie
 Nie zbudowały głowy tego dzieła.
 Jakaż jest trzecia siła na tym świecie,
 Co staje w poprzek wszelkim świętym celom?
 No, odpowiedzcież—jest siła...

RZEMIEŚLNIK.

Szatańska!

DEICHSLER.

Bene percepit!—Ergo tedy będzie
 Ow majster wielki co go stawil...

RZEMIEŚLNIK.

Szatan!

KOBIEȚA.

O Matko Boska, miej nas w Swój opiece!

DEICHSLER.

A teraz zważcie że rozum człowieczy
 Ma w sobie zawsze piekielną chęć wiedzy,
 Bo wiedza z piekła pochodzi—przeklęta!
 Bierze początek jeszcze od Adama.
 Więc dużo się tu znalazło majsterków,
 Którzy koniecznie ów zégar niebieski
 Naprawić chcieli—ale Bóg ich karał.
 Pierwszy był Niklas, co przy nim mędrkował
 I za to skaran został osłepieniem;
 Drugi, Fritz rudy, złamał nogi obie,
 Gdy się na wieżę drapał; trzeci po nim,
 Anzelmus, trądem brzydkim był dotknięty,
 A czwarty, Erazm, w trzy dni życie stracił.
 Dziś piąty jał się téj sprawy szatańskiej...

I cóż myślicie—jeśli tylu majstrów
 Nie nie wskórało, to któż jest ten piąty,
 Co umiał złożyć to diabelstwo całe?
 I któż go wspiera w jego przedsięwzięciu,
 Kto mu pomaga, kto go chroni?... Piekło!

WYROBNIK.

Cicho! patrzajcie, Erdmuta tu idzie.

RZEMIEŚLNIK.

Siostra Erdmuta opętana?

KOBIĘTA.

Święta!

WYROBNIK.

Siostra Erdmuta, biada! jej przybycie
 Nieszczęście wróży, bo to zawsze wtedy
 Piętnować mają...

KOBIĘTA.

Albo głowę scinać.

(*Wchodzi siostra ERDMUTA, kobieta stara, w sukniach piel-grzymich*).

ERDMUTA.

W imię Ojca i Syna pozdrawiam was,
 Rzeszo prostaczków małych, łatwowiernych!

WYROBNIK.

Siostro Erdmuto, zkądęście się wzięli?
 Wždy dziś nie palą czarownicy, ani
 Cwiartują Żyda.

ERDMUTA.

Ale będą... będą!

Mrowisko całe w poruszeniu wielkiem,
 Wylażą z nory jaszczurki i węże
 I gryźć—gryźć będą!.....
 Idę od Schwalbach, gdzie Chrystus cudowny.
 Słyszałam głosy, że tu piekło warzy
 Ucztę wspaniałą, kazano mi śpieszyć.

(*Patrząc na zegar.*)

Tak, on to—ten sam. Czas przemknął się chyżo!

Patrzajcie na mnie: o, piękniejszą byłam,
Niż ta tu oto, a Wilhelm był przy mnie,
Zazdrosny Wilhelm—bo gdy się kto zbliżył,
Lub się uśmiechnął do jego jedynéj,
On zęby ścinał.

WYROBNIK.

A jak to już dawno?

ERDMUTA (*wskazując zegar*).

Już lat pięćdziesiąt, kiedy wyłupili
Oczy... ot temu.

WYROBNIK.

Komu wyłupili?

ERDMUTA.

Cicho, o cicho, bo majster cechowy,
Hans Siegfried rajca i tuzin tych katów
Patrzy się na nas i brwi marszczy srodze.
O, Hans niegodny! on to winien temu:
Podburzył rajców i zgubili mistrza,
A zegar swoje godziny bił zwolna.
Ale czekajcie, niedługo uciechy!
Któs zepsuł wszystko: płacz i narzekanie...
Cóż się dziś stało? Czy Adam zmartwychwstał?
Kogoż to skóra świerzbi, że się miesza
Do tego dzieła?

DEICHSLER.

Nie słuchajcie głupiej.

ERDMUTA.

Głupiej? widzicie ten pęcherz nadęty,
Widzicie sowę, puszczyka, c'mę nocną.
Precz mi szpargale, do skrzynki się schowaj!

RZEMIEŚLNIK.

Siostro Erdmuto, toż pan Deichsler przecie,
Nasz pisarz miejski.

ERDMUTA.

Pisarz? Był-ci i tam

Pisarz natenczas. Złapali go chytrze

I opisali—a potém... pod pręgierz.
 A ona biedna—istny anioł biały
 Z niebieskiém okiem—płacze, prosi, błaga:
 Nie wierzcie—patrzcie, to człek świętobliwy,
 Człek mądrój głowy!..

RZEMIEŚLNIK.

O czém ona prawi?

ERDMUTA.

A widzisz, Berto, na co ci to przyszło..
 Nie kochaj się ty nigdy w mądrym człeku,
 Bo to niedobrze. Weź sobie takiego,
 Jak ot mój Wilhelm. On jest li stolarzem.
 Pamiętaj, Wilhelm, niech ci się nie zachce
 Umieć coś więcej od innych swych braci,
 Bo za to stosem albo gardłem karzą.
 A on mnie trąca i ciągnie do domu.
 Wtém rajca Siegfried popatrzył zukosa:
 Ej, ej, Wilhelmie, i ty umiesz więcej
 Niż paciérz tylko... On się zląkł straszliwie,
 A w miesiąc potém stos gorzał... Ha! ha! ha!
 O! wszystkie gromy, co drzemią tam w chmurach,
 Niech się zgromadzą w sądu dniu strasliwym
 I po jednemu wymiotą tych katów!
 A ci niegodni, których sprośne kości
 Spoczęły w ziemi, będą wyrzuceni,
 Na wiatr ich niecne popioły rozwiane;
 Niechaj ich dzieci, wnuki i prawnuki
 Popadną krwawej klątwie pomsty Boga,
 Niech moje życie, pełno łez i bólu,
 Stanie przed strasznym trybunałem Pana
 I woła głośno: sądu! zemsty! kary!

DEICHSLER.

Precz mi ztąd, wiedźmo! Wyrzućcie ją z placu,
 Niech tu nie bluźni...

RZEMIEŚLNIK.

Precz sam z przed kościoła!

WYROBNIK.

Hola! Erdmuta jest niewiastą zbożną
I włos jój z głowy spaść nie może.

DRUGI WYROBNIK.

Stójcie!

* Niech się nikt dotknąć nie śmie téj kobiety,
Ona złą niemoc zażegnawać umie.

KOBIEȚA.

Siostró Erdmuto, kogo wyklinacie?

ERDMUTA.

Tych wszystkich, którzy dzierżą moc w swych
[rękach,

Tych wszystkich, których serca skamieniałe
Żyją frymarkiem, przewrotnością, zdradą;
I tych nikczemnych, co się łaszą skrycie,
By potem kasać zajadle a wściekle;
I tych Judaszów, którzy modły korne
Zanoszą w kościół, a po wyjściu z niego
Kupczą niegodnie cnotą, uczciwością;
I tych tu wreszcie, co tumanić przyszli
Wasz dobroduszny, łatwowierny rozum...
Bogdaj ich wszystkich żar piekieł pochłonał!

WYROBNIK.

Podobnoć ona prawdę wypowiada:
Nie dajmy, bracia, baczenia na słowa
Tego Deichslera, bo on nas tumani.

DRUGI WYROBNIK.

Tak, my wam tylko wierzymy, Erdmuto.
Mówcie nam prawdę o owym zégarze.

ERDMUTA.

Cicho! patrzajcie: skazówka się zbliża
Już do dwunastój, niedługo bić zacznie.
Przeżegnajcie się i klękajcie w skruszel
(*Wszyscy, prócz Deichslera i rzemieślników, klękają*).
Niech odtąd szczęście dla ludzkości niesie,
Niech złe omija biédne dzieci nasze,

Niech nową erę rozpocznie dla świata,
 Niech noc ciemnoty przed światłem ustąpi,
 Niech słabi mają pomoc i opiekę,
 Zbrodnia ma karę, a cnota nagrodę

I niech nam czas ten złotym wiekiem świeci!

(Zegar zwolna wybija dwunastą. Cisza. W kościele odgłos organów i hymn uroczysty „Te Deum.“ Po chwili wchodzi MATYS i ARNOLD; za nimi rzemieślnicy, prowadząc nie-spokojną rozmowę z Deichslerelem, zbliżając się do klęczących).

MATYS.

Czartowskie dzieło na świętym kościele,
 A wy chrześciance klękliście w pokorze
 Przed Lucyperem?

ARNOLD.

Bogdajby tu nigdy

Nie powstał u nas ten wyrób piekielny!
 Toż wy nie wiecie zkąd wziął się ten zegar.

ERDMUTA (wstając).

Z jakichże piersi te głosy wychodzą?
 To wy, czeladzi? a wasz cechmistrz kędy?
 O, ja szalona tyle lat liczyłam,
 Jam ich pięćdziesiąt aż narachowała,
 A to nieprawda... toć to było wczoraj,
 I dziś tak samo, i do końca świata.

MATYS.

Precz, czarownico! dla cię nie tu miejsce!

WYROBNIK.

Czego ci ludzie chcą i zkąd te baśnie?
 Czemu ten popłoch? I wy im wierzycie?

MATYS.

Zkądżeś ty, mędrku, co chcesz przeczyć pismu?
 Pójdźcie tu wszyscy, nie baczcie na niego,
 Mądrych Deichslera słów raczej słuchajcie,
 On wam kronikę będzie czytał o tém.

DEICHSLER.

Tak, ja oświecę ciemne mózgi wasze

Lampą światłości—bo co napisano,
Prawdą jest wieczną, a co samą prawdą,
To tylko w księgach.

ERDMUTA.

Tak, tak, nietoperzu!
Czytaj im prawdy z swój zbutwiałej księgi,
Obsypuj fałsze cukrem słów miodowych,
Niechaj bezprawia, gwałty i uciski
Złotój legendy przybierają kształty!

DRUGI WYROBNIK.

Toż posłuchajmy co nasz Deichsler powie,
Bo to uczony.

RZEMIEŚLNIK.

A jakie on rymy

Śliczne układa!

KOBIĘTA.

Wszak uczył u szewca

Małego Hansa.

(Wychodzi z kościoła tłum mieszczan i panów, kierując się w różne strony. Ze stronników Deichslera i rzemieślników utworzył się szpaler przed kościołem. Deichsler, ciągle czynny, opowiada. Wychodzi Wit Stwosz z Beatą i Albrechtem; za nim czeladnicy jego, z monogramem na piersiach; później rajcowie i burmistrz. Beata przy samém wyjściu z kościoła wzdryga się i wyduje okrzyk).

BEATA.

Ach!

WIT STWOSZ.

Co ci, Beato?

BEATA.

Zdawało mi się żem go zobaczyła,
Mistrza Sebalda... i nic to dziwnego:
Tak już przywykłam widzieć go tu co dnia;
On mnie pozdrawiał każdego poranku,
Zwał wnuczką swoją i rad mi był wielce.
Zda się że słyszę drżące jego słowa.

Czemuż, gdy dzieło jego świat dziś wielbi,
Już go tu niéma?

WIT STWOSZ.

W niebie jego dusza!
Modli się za nas, błogosławi pracy.

BEATA.

O, czemuś raczej nie opuścił Niemiec,
Jak tego pragnął?..

WIT STWOSZ.

Cicho, dziecko! słyszysz
Jakie złośliwe szeptu i przycinki
Ten tłum mi rzuca?

ALBRECHT.

Nie zważajmy na nie
I pójdźmy śpiesznie.

WIT STWOSZ.

Nie tak być witanym
Tuszyłem sobie.

MATYS.

Widzicie bracia: on ma krzyż za godło,
A spraw szatańskich jął się niegodziwy.

ERDMUTA.

Daléj z zębami! kłószcie go wściekle!
On was rozumem prześcignąć się ważył.

ARNOLD.

Wyszedł z kościoła, niby tryumfator,
Myślał że lud mu rzuci się pod nogi.

RZEMIEŚLNIK.

W diabelskie pióra już się teraz stroi,
Zamało dumie ziemskich spraw się imać.

MATYS.

Zato téż kara Boża go nie minie,
Bo napisane jest w księgach wyraźnie:
Kto tknie zégara, tego hańba czeka.

WIT STWOSZ.

Hańbą mnie darzysz, ohydny motłochu,

Żem dobył z pyłu dzieło wielkiej ręki
I dał w usługi i pożytek światu?..

MATYS.

W pożytek światu? Świat stać będzie sobie,
Jak dotąd stoi, bez diabelskich praktyk.

ARNOLD.

Jesteście człekiem co zjadł rozum wszystek,
A już dla drugih kęsa nie zostawia.

MATYS.

Ima się rzeczy które nie dla niego.

WIT STWOSZ.

Czyżem wam bronił podjąć tego dzieła?
Stał lat pięćdziesiąt, i nie było kogo
Pomiędzy wami, o przemądre głowy,
Coby podźwignąć zdołał onę pracę.
Wasza głupota, nieudolność wasza
Zwaliła wszystko na karb złego ducha.
Wiédzcież, że nie ja darzę was nią dzisiaj;
Zasługa moja jest drobna i licha,
Spełniam tu tylko zlecenie zmarłego,
Które na łożu śmierci mi powierzył,
Zlecenie mistrza, zwanego Sebaldem,
Co się w żebracze szaty przyodziwał,
Aby raz drugi nie popaść w zhańbienie.

MATYS.

Co ten człek mówi?

ARNOLD.

Czarodziej ten zginął
Przed laty stoma, spalony na stosie.

RZEMIEŚNIK.

Czemu z ratusza zegar przeniesiono?

WIT STWOSZ.

Bo tam zelżono jego mistrza niegdys,
Bo tam praszczury wasze.. nędzna zgraja...
Zazdroszcząc wiedzy, pracy i zasługi,
Jak dziś zazdrości, lubo sama ciemna,

Ohydną zbrodnię dokonała na nim;
 Pod tym zaś murem świętego Sebalda
 Przeżył dni resztę, żebrząc u was chleba.
 To się w kronikach waszych nie znachodzi?

ARNOLD.

To kłamstwo! kłamstwo!

MATYS.

Słyszeliście, bracia,
 Jak ratuszowi przymawiał niegodnie?

ALBRECHT.

Pójdźmy już, Wicie.

BEATA.

Ojczy, tyś wzburzony.
 Przebacz im... pójdźmy, wszak to ciemni ludzie.

WIT STWOSZ.

Nie, nie, Beato, to są plazy podle,
 Pełne zawiści, żółci i trucizny.
 Znam ja te twarze, z których wąż wyziéra:
 To potomkowie tych samych szalbierzy,
 Co Adamowi oczy wylupili.
 Czyż świat ten wiecznie stać będzie na miejscu?
 Czyż nigdy, nigdy nie zbraknie tych gadzin,
 Co pracę ducha błotem kalać będą?

ERDMUTA (*zbliżając się do Stwosza*).

Nigdy nie zbraknie! prędzej was niestanie!
 Ostróżnie z korca wychylajcie głowy
 I baczcie pilnie gdzie strychulec leci,
 By was nie zmiażdżył.

ALBRECHT.

Pójdź, Wicie, dość tego!

MATYS.

Widzicie ile złości w tym człowieku,
 Jak on zelżywie lud traktuje cały.

ARNOLD.

Jeden włóczęga, z końca świata wzięty,
 Przyszedł urągać nam tu w grodzie naszym.

MATYS.

Wszedł tu z torbami, a dzisiaj gra pana,
Na naszym chlebie urósł w taką dumę.
Precz nam tu z miejsc tych!

ARNOLD.

Ruszaj zkaśes przyszedł!

WIT STWOSZ.

Czemuż nie mogę tych głązów wydobyć
Ze ścian kościoła, by zarzucić niemi
Ten tłum robactwa.

ARNOLD.

Dalój, spróbuj tylko!

MATYS.

Hola, do niego!

ALBRECHT.

Precz, tłuszczo przekłeta!

*(Czeladnicy i Albrecht otaczają Stwosza i wyprowadzają go
prawie gwałtem z Beatą).*

ERDMUTA.

Świat nie starzeje—takie samo wczoraj,
Jak będzie jutro, pojutrze i dalój.
Pająk truciznę, pszczoła miód nieść będzie,
A słońce dla nich świecić jednakowo.

(Odchodzi).

RZEMIEŚLNIK.

Ha, to poganin!

ARNOLD.

Mówiłem wam nieraz,
Że w tym człowieku zły duch przemieszkuję.

MATYS.

I cóż... staliście jak te słupy z soli,
Kiedy lżył wszystkich.

ARNOLD.

A na ratusz cały
Ile on oszczerstw wysypał, niegodny!

DEICHSLER.

Wszystko to w księgach będzie umieszczone
I obrachunek ścisły z nim się zrobi.

MATYS.

Nie skończyliśmy jeszcze z sobą, mistrzu.

ARNOLD.

Przyjdzie czas, przyjdzie!

MATYS.

Lecz zanim czas przyjdzie,
Mamyż tak odejść i puścić mu płazem
Tyle zuchwalstwa, tyle słów zelżywych?
Nie, bracia! zemsta w téj chwili się spełni.
Cny panie Deichsler, co tak władasz rymem,
Ułóż czwórówiersz na tego włóczęgę,
Do jego znaku przyczepim ten papier.

DEICHSLER.

Pomyslim nad tém, a teraz w spokoju
Rozejść się radzę, bo sławetny burmistrz
Wraz z radą miejską zbliżają się tutaj.

(Groząc, odchodzą. — *Burmistrz, rajcy, Nützel, Geuder
i Tucher, którzy stali we drzwiach kościoła i byli obecni ca-
łój poprzedniej scenie, po ich odejściu zbliżają się*).

GEUDER.

Że ten człek zawsze burdę zrobić musi.

TUCHER.

Bo mu zanadto cugli popuszczacie.

BURMISTRZ.

I cóż mu daje tę przewagę w mieście?
Oto panowie, którzy przepłacają
Jego roboty. A i wy też sami
Nie psuliściez go ciągłemi pochlebstwy?

GEUDER.

Nic nań nie działa, już w nim pycha taka;
Nie uszanuje ni władzy, ni prawa.
Mówią że buta, to ich cecha wspólna.

TUCHER.

Wędzidła trzeba na pyszałka tego,
Inaczéj miasto będzie wrzało ciągle
W swary i bójki.

BURMISTRZ.

Idźcież do landgrafa,
Niech on wędzidło założyć nań zechce,
Boć to jest jego opiekun szczególny
I niech kto palec na niego zakrzywi,
Zaraz my winni.

TUCHER.

Landgraf niech się rządzi
U siebie tylko i tam sądy sprawia,
Lecz w Norymberdze wy jesteście panem.

BURMISTRZ.

Toć przez to ust mu zamknąć jam nie w mocy.
(*Odchodzi z Geuderem i Nützlern*).

TUCHER.

Prawda, żeś tylko burmistrz malowany.
(*Wchodzi STEINBAUER*).

STEINBAUER.

Deichsler jedyny... dobrze rzecz prowadził.
Słyszałeś jak go nasi powitali?
To prolog tego co się ma narodzić.

TUCHER.

Szydzi on z takich ukąszeń komara.

STEINBAUER.

O nie, nie szydzi—mało brakowało,
Aby z pięściami rzucił się gołemi.
Niech-no raz straci tę powagę groźną,
Którą przybić uć uć wobec tłumu,
A kamieniami zarzuć go pewnie.

TUCHER.

Krucha podstawa na której budujesz.
Cóż ta hałastra wadzić może jemu,
Gdy całą szlachtę zdawna ma za sobą?

Większe współczucie tém tylko wywoła,
 Że prześladowan będzie od motłochu.
 Stokroć groźniejsze usłyszałem słowo
 Pośród tych ludzi, co tu z nim igrali.

STEINBAUER.

Słowo? jakież to?..

TUCHER.

Hańba!... „Kto się dotknie

Zégara tego, albo go naprawi,
 Ten zhańbion będzie—życie jego całe
 Spłynie w pogardzie i nieszczęściu srogiém...”
 Takie podanie opiewa kronika
 Heinza Deichslera, którą czytał właśnie
 Temu ludowi, gdyśmy się zbliżyli.

STEINBAUER.

Wszak takie wieści sprawdzają się czasem...

TUCHER.

Tak! czekaj na to, a tymczasem... żegnaj!
 Sam szatan się z tym smokiem nie upora.

(*Odchodzi*).

STEINBAUER.

Szatan... być może, lecz ja mu poradzę.
 „Hańba każdemu, kto zégar naprawi,”
 Tak mówi stare podanie w kronikach.
 Wszak takie wieści sprawdzają się czasem...
 Możnaby pomódz, żeby się sprawdziły.
 Człeka co głowę tak wysoko nosi
 I honor stawia nad wszystko w swém życiu,
 Co tak wrażliwy w swój dumie szalonój,
 Że lada kamyk zawadza mu w drodze,
 Najłacniej pono w słabiznę uderzyć,
 A zahaczywszy dobrze w owém miejscu,
 Na sznurku wodzić, chociaż on się pienie
 I wściekać będzie.—Cierpliwości tylko.

BANER *wychodzi z domu Stwosza i kłania się nisko Stein-*
bauerowi.)

BANER.

Pokorny sługa!

STEINBAUER.

A kogóż to widzę?

Wszak to pan Baner we własnej osobie?

Dawnom już, dawno nie miał tego szczęścia...

BANER.

On sam, do usług wielmożności waszój.

STEINBAUER.

Ja bom już myślał że ciemnica jaka,

Albo karceres chowa was w zamknięciu,

A to się jeszcze tulacie po świetle.

BANER.

O, zawsze humor i żarty swywolne

Są w pogotowiu u waszój miłości.

STEINBAUER.

To na wasz widok humoru przybywa.

BANER.

Jakżem szczęśliwy, że osoba moja

Tyle wam miła!

STEINBAUER.

Miła, nie—zabawna.

Przypominacie mi lisa, jak wietrzy

Gęś, albo kure.

BANER.

Żegnam was uprzejmie.

STEINBAUER.

Oh! ależ czekaj, i pocóż te dąsy?

To tylko zaszczyt przynosi wam duży,

Znać że nie wodę nosicie w swym mózgu.

Lecz wyjść z podziwu nie mogę, Banerze,

Co tu porabiasz w takim zacnym domu,

U Wita Stwosza, mistrza wielbionego?

BANER.

Pieniężne sprawy wiążą nas ze sobą.

STEINBAUER.

Piennieżne sprawy? żartujesz, mój bracie;
W to nie uwierzę, bo przecież to człowiek
Znan z uczciwości, a waszmość znów słyniesz...

BANER.

Mistrz jest laskawszy od waszój miłości,
Nie gardzi memi rzetelnemi służby.

STEINBAUER.

Ej! ej! Banerze, grasz ze mną w zagadki;
Przecież pieniędzy od was nie pożyczasz,
Bo choć diabelskie umiesz robić sztuki,
To i talara nie wyciśniesz z ciebie.
Kredyt twój cały na włosku zawieszon,
A sklepik zamknąć grożą lada chwila.

BANER.

Szlachetny klient mój nie jest w potrzebie,
By miał pożyczać: on ma tyle złota,
Że drugim chętnie otwiera swe skrzynie.

STEINBAUER.

Tobie pożyczył?

BANER.

Nie pożyczył wcale,
Tylko mi w obrót oddał swe pieniądze.

STEINBAUER.

A kiedyż on też zobaczy się z niemi?

BANER.

Co rozumiecie przez te słowa, panie?
Podpis i pieczęć Banera są święte,
A sprawy moje w dobrym stanie zawsze.

STEINBAUER.

A to ciekawe!.. Dales rewers?

BANER.

Dalem.

STEINBAUER.

Wielkie mi rzeczy! przecie i z rewersu



Może się wykpić, kto ma olój w głowie.

BANER.

Nie ja to, nie ja, szlachetny cechmistrzu,
Słowo Banera czystém złotem stoi.

STEINBAUER.

Ha! ha! pociesznyś wielce. Ty mnie bawisz,
Mój ty pocziwy Banerze, tak bawisz,
Żem gotów wina antał wypić z tobą.

BANER.

To wielki honor, sławetny cechmistrzu,
Lecz brak mi czasu.. tam sprawy czekają...

STEINBAUER.

Nie potrwa długo, a przy dobrém winie
Na pogawędce mile czas przemienie.

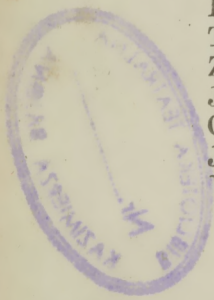
(Zegar uderza godzinę; wchodzi do winiarni. Jednocześnie Matys z kilku rzemieślnikami zbliża się ostrożnie ku domowi Stwosza. Matys ma papier w ręku i chce go przyklepić na znaku Stwoszowym, gdy drzwi domu się otwierają i Albrecht chwytą go za rękę).

Odśłona II.

Pracownia Wita Stwosza. Noc. Światło księżyca wpada przez okno z lewej. Wit siedzi zamyślony przy stole z prawej.

WIT STWOSZ.

Poraz to piérwszy jam z sumieniem w walce,
I co kołacze tak silnie w mém wnętrzu,
To żal—żal wielki za dawnym spokojem,
Za tą swobodą, którą biegły myśli
Jasno, spokojnie, niby fale Wisły,
Co srebrnym smugiem tam suną się zwolna.
Jakżeż to dawno nie błdziłem myślą
W zaraniach mojej młodości!



Mogąż powrócić te dni ciszy pełne,
 Ciszy anielskiej, przerywanéj tylko
 Szmerem lip starych i śpiewaniem ptasząt?
 Mogąż powrócić ta radość, to szczęście,
 Gdy ukochani wnosili mi do dom
 Pierwsze listeczki tego wieńca sławy,
 A ja, niewinny i czysty jak dziecię,
 Piłem wraz z nimi z jednego kielicha
 Szczęścia rajskiego? Czy mogą powrócić?...
 Nigdy już—nigdy! Zjawiły się posły
 Aż z Norymbergi, prosili o mistrza,
 Bo brakło miastu ich potężnéj ręki.
 I jam pojechał—a wrócił już innym.
 Spokój mój przepadł—zgubiłem go w drodze,
 I czarna chmura zawisła nademną.
 Gromy po gromach huczały nad głową,
 A jam stał silny, niby dąb stuletni,
 Bo w duszy płomień palił się tak straszny,
 Że wszystkie ziemskie uczucia boleści,
 Rozpaczy, troski, miłości i szczęścia
 Jako o skałę były nadaremnie.
 Najdrożsi moi rzucali mnie co dnia,
 Zstępując w groby... jakby się przelekli
 Téj burzy strasznej, co piersią mą trzęsła.
 Tu się ocknąłem. Porwałem jedyną
 Moję pieszczotę, co z całego wianka
 Mi pozostała, i uciekłem z domu
 Nazad do owéj słodkiej Norymbergi,
 Co taki ogień w piersiach mych zażęgła.
 Czyż tylko duma pchała mnie wciąż naprzód,
 Chęć sławy świetnéj, chciwość złota? Nigdy!
 Niel nie! nie! stokroć—to ta miłość wielka,
 Którą dla sztuki żywiłem w swéj piersi!
 Chciałem ją stawić, jak wysoko tylko
 Geniusz ludzki postawić ją może.
 Więc cyklopowe przedsiębrałem dzieła:

Podziw, cześć, sława leciały w zawody,
 A siła twórcza ogniem światel cudnych,
 Jakby stubarwniej tęczy promieniała.
 Sam się zdumiałem nad tych prac ogromem
 I pyszny niemi, zapomniałem świata,
 Ziemi-m zapomniał. I tu się poczyną
 Ten grzech, za który rumieńcem dziś płonę,
 Bo pycha wielka wylęła się w sercu;
 Pycha niegodna w upadek mnie wiodła.
 Już z namaszczeniem nie miałem dzieła,
 A byle na niém monogram mój świecił,
 Płacono hojnie—płacono... za imię.
 Na dzieło ledwie który okiem rzucił,
 A szukał pilnie stempla Wita Stwosza.
 Ślizka-to ścieżka.—Kroczyłem nią w przepaść,
 Bo powodzenie i pokup dzieł moich
 Coraz to więcej wrogów mi mnożyły.

(Zegar bije godzinę. Wit się zrywa).

Aż on mnie zbudził—tak jak teraz budził
 Żebak, mistrz wielki, mąż błogosławiony,
 W potęgę ducha bogatszy odemnie,
 Odkrył mi serce i rany swój duszy,
 A ja, nieszczęsny, miał naukę czerpnąć
 Z tych strasznych bojów z losy zawistnemi,
 Stałem upornie w swój dumie szalonej
 I odmówilem ostatniej przysługi.
 Rzucił mi dzieło, zostawił swobodę,
 Chciałem go uczcić wbrew woli zmarłego,
 I zato-m błotem tłumu obryzgany.
 Gorzka nauka!

(Siada w zamyśleniu. Wchodzi BEATA, ze światłem w ręku).

Tyżes to, dziewczeczko?

Jakby przeczuciem swój promienną duszę
 Zgadłaś, że ojca pocieszyćby trzeba.

BEATA.

Słyszałam twoje niespokojne kroki,

Gdys mierzył swoją pracownię bez światła.
Wiem że niepokój albo smutek jaki
Szarpia cię wówczas—nadbiegłam więc, ojcze....

WIT STWOSZ.

O niechby nieba tysiące utrapień
Rzuciły na mnie: urągać im będę,
Byle twa główka anielska i czysta
Na mojej piersi spoczywała zawsze!

BEATA.

Ojcze mój drogi, nie myśl już o troskach;
Każda twa boleść rani mnie do głębi.

WIT STWOSZ.

Jam już spokojny, bo ujrzałem ciebie;
Pierzchnęły troski, jak rosa przed słońcem.
Czuję się młodym, szczęśliwym i silnym,
Gdy ciebie widzę.

BEATA.

Nieszczérze mi mówisz.

Wiem ileś cierpiał i cierpisz dotychczas.
Dzisiejsze smutne zajście przed kościołem
Sprawdziło moje bolesne przeczucia,
Które powzięłam, gdys ów zegar stawiał.
Czyż praca taka mogła dać ci więcej,
Prócz samych cierni?
Czyż mąż ów święty na wiatr ciskał słowa,
Gdy żądał, abys cudne dzieło jego
W dalekiej świata stronie ubezpieczył?...
Wszakże on poznał do gruntu ten naród,
Pełen zawiści dla obcych przybyszów,
Wiedział że ani groza zbrodni strasznej,
Ani lat szereg go nie poprawiły.
Czemużes, czemu nie spełnił téj chęci?
Byłbys dziś wolen od smutku i zgryzot.

WIT STWOSZ.

Jam i tak wolny od nich, córko moja!

Dzisiaj naukę wielką odebrałem,
 Bom poznał norę, gdzie gady się lęgną,
 Wiem zkąd pociski na mnie wyrzucają
 I teraz zmożę to gniazdo jaszczurek.

BEATA.

Do walk z tym ludem chcesz stawać?.. Ach, ojczu!

WIT STWOSZ.

Do walk? nie, dziecko, odzieję się tylko
 Płaszczem skromności. Stwosza zaprę w sobie.
 Ten swój monogram, z krzyżem płomienistym,
 Który tak piecze ich ślepe źrenice,
 Strzaskam na sztuki—skryję się przed światem
 I żyć będziemy tak jak ongi... pomnisz?
 Gdys u mych kolan igrała dziecięciem.
 Lecz, drogie dziewczę, od ciebie jedynie
 Zawisło, abys ten sen piękny iście
 W jawę zmieniła... Beato! czyż nigdy
 W Albrechcie moim nie dostrzegłaś czegoś,
 Co więcj mówi niż przyjaźń, braterstwo?
 I czy twe serce nie pragnie miłości,
 Jaką dać może mąż taki jak Albrecht?

BEATA.

Nie, drogi ojczu. Mówisz o miłości?
 Ona jest tylko szczęśnych dusz udziałem,
 Ona tam tylko zakwita wspaniale,
 Gdzieśmy młodzieńcze lata przeigrali,
 Gdzieśmy, jak wąż latorośl, powoli
 Wzrosli w roślinę. Przeniesiona w inną
 Ziemię, i słońce, i powietrze inne,
 Nie wyda kwiatu i owocu nigdy.
 Serce me tęskni do stron ukochanych
 Tak silnie, że już na inne uczucia
 Niéma w niém miejsca. Zostaniemy razem,
 Jak dotąd, ojczu—lecz miłości swojej
 Dać mu nie mogę nigdy! nigdy! nigdy!

(*Pukanie do drzwi i słabe wołanie Albrechta*).

Otwórzcie!.. Wicie!.. Beato!.. umieram!

BEATA.

Co to jest? Boże! Wszak to głos Albrechta!

*Otwiera drzwi. ALBRECHT, raniony śmiertelnie w piersi,
wchodzi chwiejnym krokiem*).

WIT STWOSZ.

Albrechcie, co to?

ALBRECHT.

O Wicie, uciekaj!

Ty podrażniłeś tę hydrę stugłową,

Co tysiącami żadeł nas kaléczy...

Padam ofiarą jej pocisków zdradnych...

Ci jadowici, co oplwali ciebie,

Nie mogąc dosięść mieczem twojej głowy,

Mnie uderzyli.

WIT STWOSZ.

Albrechcie! mój bracie!

Gdzie ci nikczemni? wymień mi ich, wymień!

BEATA.

Gdzie ci dolega? opatrzę twe rany....

ALBRECHT.

O, już zapóźno, aniele mój biały!

Wicie! ty zemście posługuj... bo ona

Ciebie pochłonie... Uciekajcie z miejsc tych!

Ten cech straszliwy... Nie mogę... już ciemno...

Stań—stań tu przy mnie, Beato wielbiona!

Tys była dla mnie słońcem i natchnieniem...

Jakże tam ciemno będzie mi bez ciebie!

WIT STWOSZ.

Albrechcie drogi, druhu mój kochany!

Nie, to nieprawda—Boże sprawiedliwy!

Nie, ty nie umrzesz!.. ratunku!.. lekarza!...

ALBRECHT.

Módlcie się za mnie... a na mój mogile

Posadysz kwiatki, te z tamtąd... pamiętasz?

I przyjdiesz czasem tam do mnie... O Boże!
(*Umięra*).

BEATA.

Umarł już! umarł!.. To nasz brat, nasz anioł,
Nasz pocieszyciel, opiekun, przyjaciell...
Ojciec mój, ojciec!.. myśmy sierotami!
(*Pada na zwłoki Albrechta*).

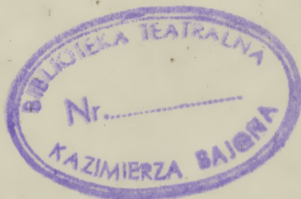
WIT STWOSZ (*stoi skamieniały. Po chwili przychodzi do siebie i mówi stopniowo z coraz większą siłą*).

Potężnym gromem ugodziłeś, Boże!
Jam zgrzeszył ciężko—prawda! Winę swoją
Przed strasznym sądem wypowiadam kiedyś,
Bom zagrzązł cały w samolubstwa błocie
I głowy drogie, których mi być stróżem,
Na pastwę czerni rzucił wyuzdanęj.
Draśnięta duma wybuchła płomieniem;
Miasto pogardą i litością płacić
Ten tłum niegodny, nastawiony chytrze
Na moję zgubę przez wrogów zajadłych,
Ja im broń gwałtem wcisnąłem do ręki
I piersi-m odkrył. Przekłęta krewkości!
Ty mózgi nasze w żar ognia zamieniasz;
Przed twym pożarem chłodna myśli władza
Ucieka szybko, jak przed piekiel siłą...
Lecz miałem połknąć spokojnie zniewagi?
Miałem stać martwy, gdy żądła tych gadzin
W serce mnie samo kłuły bez litości
I moje zacne, godziwe pobudki
Podlój rachuby obrzucały mianem?
I miałem twarz swą poddać do policzka
I oburzenie święte zamknąć w sobie,
Gdy te szakale krew moję chłęptały?...
O nie, nie! na to nie trza być człowiekiem,
Nie trzeba krwi mieć kipiącej w swych żyłach,
Nie trzeba serca, ni ducha nie trzeba,
Dosyć slimaczęj posoki—nic więcej,

Serca zająca, które sofizmatem
Tłumaczy podłość, mianując rozważę
To, co jest tylko tchórzliwości dziełem.
Precz więc odemnie, o chłodna rachubo!
Mnie krwi potrzeba, mnie potrzeba zemsty!
Gdzie jest broń moja? władam nią dość silnie,
By téj czeredzie kilka łbów zmieść z karku.
Ha! zgrajo niecna! za tę krew mi drogą
Zapłacisz sześćkroć — lub sam legnę trupem!

(Wybiega).

(Zasłona spada).





STEINBAUER.

Niewszystko można ludziom publikować,
Co w księgach stoi... wiecie o tém dobrze.

DEICHSLER.

A przecież sami...

STEINBAUER.

Przestańcież już paplać!

Srodze boleję nad nieszczęściem jego
I odtąd jam mu obrońcą. Słyszyciel?
Marnego słowa nie dam wspomnieć o nim.
Kto go zaczepi lub pokrzywdzi mową,
Będzie miał ze mną do czynienia. Dosyć
Tych głupich swarów i tych obelg głupich,
Które nas tylko w ohydę podadzą.
Czyśmy to wiley, lub jakowi dzicy?
Chcecie naprawić swą sprawę, to idźcie
Głosić po mieście, że Steinbauer stary
Jest przyjacielem i obrońcą Stwosza.
O boście dużo, dużo zawinili,
Mój mości Deichsler! Trzeba to odrobić.
Dziś dzień Sebalda, niechże w tym dniu świętym
Nasza się zgoda i przyjaźń utrwali.

(*Do cechu*).

Tak, bracia moi! choć nas nie uznaje,
Choć w naszym kole nie przebywa wcale,
Nam schylić głowy, szanować go trzeba.
Od dziś w gospodzie jest stółek dla niego,
Gdy nas zaszczycić raczy swą osobą.
Tak, panie Deichsler, idźcie i naprawcie
Złe wyrządzone.

DEICHSLER.

Nie do uwierzenia,

Jaka w tych ludziach chwiejność charakteru.
Verus histrio!..

(*Odchodzi. Wchodzi VISCHER*).

VISCHER.

Mości Steinbauer! wyglądasz mi wasze
Jak jaki hetman przed swym poczem zbrojnych;
To téż i cech wasz skorszy jest do bitwy,
Niż do pokoju.

STEINBAUER.

Brakło nam Vischera.

Jużem się tęskny oglądał za wami,
A wy, ot, z żartem jak wołani przyszli.
Dziś wam pokażę, czy nasz cech jest skory
Do bijatyki więcej niż do zgody.
Hansie Mühlbacher, pośpieszcie mi rącho
Do mistrza Stwosza, pozdrówcie go pięknie
W imieniu cechu i proście uprzejmie,
Aby łaskawie przyjąć raczył udział
W uczcie dzisiejszój, jak to we zwyczaju
Rokrocznie u nas, w dzień patrona miasta.

(Mühlbacher odchodzi).

VISCHER.

A więc wiatr wieje teraz z innój strony?

STEINBAUER.

Jak wiał, tak wieje—byłem zawsze względem
Człowieka tego pełen czci i sromu;
Ależ sam sobie winę niech przypisze,
Jeśli w krewkości swój niepohamowan.
Obrażał ludzi i burzył na siebie.
Trudno, mój bracie—władam-ci ja nimi,
Ale obrazy mścić im się nie wzbronię.

VISCHER.

Już-to w doborze gładkich słów toś ćwikiem.
Wiem-ci ja dobrze zkąd ta zmiana u was:
Oto Stwosz w powrót śpieszy do Krakowa.

STEINBAUER.

Co mówisz, wraca? nieszczęsna godzina!
Powiedzą teraz że ja mu stał w drodze
I że przezemnie rzuca Norymbergę.



A K T III.

Rynek w Norymberdze. W głębi ratusz. Okna wszystkich domów otwarte i ubrane w kwiaty. Na środku rynku, na podwyższeniu, pręgierz.

STEINBAUER *na czele cechu swego wchodzi i ustawia go przed ratuszem. Za nim DEICHSLER. Później nieco, aż do wejścia Banera, wchodzą inne cechy, każdy ze swoją chorągwią na czele.*

STEINBAUER.

Nie chcę nic słyszeć—waszeć plotka miejska.

DEICHSLER.

Ja, plotka miejska? A, tego przydomku
Tom się nie spodział od was, mój cechmistrzu.

STEINBAUER.

To też mi żadnych krzywych wieści nie znoś
Na mistrza Stwosza. Człek-to wielkiej sławy
I uczciwości. Te-ć to wasze baśnie
O wielką stratę przyprawiły mistrza,
Bo w nędznej bójce stracił przyjaciela.
Pijanęj tłuszczy kładłeś wasze w uszy
Baśnie i głupstwa, dziwa niestworzone.

DEICHSLER.

Ja kładłem w uszy?.. i pijanęj tłuszczy
Toć to *contemptio*—raczcie chować przecie
Poszanowanie dla mnie, dla urzędu.
Czyżem to wszystko znalazł na ulicy?

VISCHER.

I nie pomyślą się bardzo, cechmistrzu.

STEINBAUER.

A wiész żem gotów rzec się swój godności,
Przeprosić raczėj kornie tego człeka,
Choć mnie nie uczył i nie poszanował,
Niż żeby miasto utracić go miało.

VISCHER.

Zapóźnie trochę skrucza w was wstępuje,
Wróćcie mu brata, coście go zabili.

STEINBAUER.

Myśmy zabili? Vischerze! Vischerze!
Gdyby nie pora zawczesna poranku,
Tobym cię sądził żeś się z flaszą spotkał.

VISCHER.

Flaszą nie gardzę ni rano, ni w wieczór,
Ale czy naczco, czy uraczon dobrze,
Zawsze wam powiem, żeście człek podszyty
Lisem. (Odchodzi)

STEINBAUER.

Diabeł mi zawsze naszle tego gbura,
Co ma węch wyżła i odgadnie wszystko.
Alem spokojny, bo Baner nie chybi,
A tego planu przeniknąć nie zdoła,
Choćby miał nozdrza wszystkich wyżłów razem.
Chcesz w podróż śpieszyć? ho! poczekasz jeszcze,
Zanim pamiątki nie weźmiesz na drogę.
(Wchodzi WIT STWOSZ, za nim VISCHER wraca).

WIT STWOSZ.

Cóż ten tłum znaczy? Czy dziś kogo tracą?
Bo ile razy przyjsć mi się tu zdarza,
Widzę u słupa jakowás ofiarę;
I żadne miasto chyba nie szafuje
Więcej krwią ludzką.

VISCHER.

Zaostryś, mój bracie.

Dziś święty Sebald, patron Norymbergi,
W każdy dom radość i wesele niesie,
Wszystko co żyje troski gdzieś wyrzuca
I w wspólnej uczcie dzień spędza ohocz, o
A ty nam, Wicie, z chmurném wchodzisz czołem.

WIT STWOSZ.

W mym domu smutek czarny się rozpostarł;
Już ja przy ucztach waszych nie usiądę.

VISCHER.

No, wiem żeś ciężką dotknięty był stratą;
Ależ to, bracie, zwykła kolój świata.
Pójdź z nami, Wicie, ochota ci wróci,
A o wyjeździe żadnym mi nie gadaj,
Bo wielu nas jest w Norymberdze całej
Tobie życzliwych—murem ci staniemy
I kroku z miasta nie pozwolim zrobić,
Chyba byś z każdym rozprawę mieć musiał.
Choć wiem że tego władasz swym berdyszem,
Bo świadkiem plastry, które noszą jeszcze
Słudzy cechowi—lecz i my umiemy
Odciać się dobrze. A zatem... pójdź z nami!
Widzisz te cechy suto przystrojone?
Czeka to wszystko na pochod pielgrzymów,
Którzy tu z pieśnią o Sebaldzie staną;
Potém w parady uroczystej cechów
Sunie my wszyscy z nimi do kościoła
I dalej uczta.

WIT STWOSZ.

Żegnaj, dobry Piotrze!

Tam me dziewczątko z trwogą oczekuje
Powrotu ojca.

VISCHER.

Toć cię nie wstrzymuję,
Lecz o podróży nie gadaj mi więcej.

WIT STWOSZ.

O nie, mój Piotrze, próżne słowa twoje,

Nie już mnie u was zatrzymać nie zdoła.
 Tutaj straciłem najlepszego z ludzi
 I wieczny wyrzut ciążyć będzie na mnie,
 Bo padł w méj sprawie, ugodzony skrycie
 Przez zbirów, którzy mnie niesli te pchnięcia.
 Próżnom kołatał u bram sądów waszych,
 Żądając kary na tych skrytobójców...
 Z niczém odszedłem, zyskałem to tylko,
 Że oczerniono pamięć brata mego,
 Zwąc go warchołem, pijakiem, kosterą,
 Który przechodniów zaczepiał na drodze,
 Bo tak zeznali przedajni świadkowie.
 Jest straszna ręka, co porusza w cieniu
 Cały ten motłoch i przeciw mnie burzy.
 Ni dnia, ni nocy nie spędzę spokojnie.
 Gdy rano wyjdę przed dom swój—znajduję
 Paszkwil obrzydły na drzwiach przyczepiony.
 Kiedy ulicą przechodzę, to szeptu,
 Naigrawania, przezwiska złośliwe
 Sypią się na mnie. Wybiéram ulice
 Najustronniejsze... i to nie pomaga,
 Bo zda się nowe wrogi wyrastają.

VISCHER.

Wszystko to boli, wiem, mój drogi Wicie,
 I żal dla ciebie szczéry czuję w duszy,
 Jak dla nich wzgardę—ale masz-że gwoli
 Niecnój zawiści ustąpić i rzucać
 Warstat i dom swój i swe mienie całe?

WIT STWOSZ.

Mienie me całe w gotowych pieniądzach,
 Które złożyłem u jednego z kupców.
 A co do miejsca gdzie osiąść zamierzam,
 To rozpoczynać nanowo nie będę,
 Bo śpieszę do dom—powracam do swoich,
 Którzy tęskliwie czekają mnie dawno.
 Na tronie polskim Aleksander siedzi,

Pan mądry wielce i miłośnik kunsztu.
 Jeszcze za życia ojca Kazimirza
 Dawał mi łaski i względów dowody,
 Pod jego skrzydła ucieknę się chętnie
 I wiem że pracy ni chleba nie zbraknie.

VISCHER.

Jesteś, mój Stwoszu, na gościńcu świata
 A w lichym kątku chcesz się zamknąć?

WIT STWOSZ.

W lichym?

Wybaczam tylko tobie ono słowo.
 Nie znasz narodu, a chcesz wyrokować.
 A iluż to on mężów zrodził wielkich,
 Co jako gwiazdy świecili w narodzie!..
 O, nie przesądzaj nigdy, idąc śladem
 Swych ślepych ziomeków, że to kątek lichy.
 W owym to kątku jest wiedzy skarbnica,
 Do której śpieszą z najdalszych stron świata
 Ci, co chcą światła.—I wasz Celtes wielki,
 Którego pieśni miasto wasze słucha,
 Nie byłby czém jest, gdyby nie nasz kątek.

VISCHER.

Przebacz-że, Wicie, to niebaczne słówko,
 Które troskliwość o ciebie mi tylko
 Wyrwała z duszy.

WIT STWOSZ.

Wiem to i przebaczam.
 Ty jeden, bracie, opleciesz wspomnieniem
 Cały mój pobyt w waszém straszném mieście;
 Ty jeden dla mnie zachowałeś szczera,
 Trwałą życzliwość. Bóg ci zapłać, Piotrzel!
 Teraz mi żegnaj, bo jeszcze mam wiele
 Spraw ważnych spełnić.

VISCHER.

My cię nie puścimy.

WIT STWOSZ.

Nie mogę, bracie — dziewczątko me biedne
Schnie mi tu u was, jój potrzeba ziemi,
Powietrza trzeba, twarzy swych rówieśnic.
Tęsknotaby ją zabiła niebawem.

(Wchodzi BANER).

Ot właśnie człowiek którego szukałem.
Hej, mości Baner! racz zaczekać chwilę.

BANER.

Nie uważałem waszej łaskawości.

WIT STWOSZ.

Daremnie badam, aby dojść przyczyny
Waszego chłodu. Bywało że codzień
Dom mój odwiedzać radzibyscie byli,
A teraz nagle znikliście mi z oczu.

BANER.

Nawał zajęcia, spraw mnóstwo na głowie...

WIT STWOSZ.

Cóż za przyczyna, że dzień za dniem schodzi,
A ja nie mogę doczekać się od was
Żadnego skutku. Byłem dziś raz wtóry
W waszém domostwie, lecz-em was nie zastał;
Dwa razy sługę swego posyłałem
I wrócił z niczém.

BANER.

Jakże mnie to martwi!

Raczy mi wasza łaskawość wybaczyć.
Sprawy me właśnie mają tę naturę,
Że po za domem załatwiać je muszę;
Lecz teraz jestem na usługi wasze.
Co mi rozkazać racycie?

WIT STWOSZ.

Pytanie

Wasze mię dziwi. Cóż rozkazać mogę?
Żądam swojego kapitału od was
I zysków z niego, któreście przyrzekli.

Termin już dawno upłynął, lecz sądzę
Ze za to na mnie się nie pogniewacie,
Boć to jest krzywda moja, a nie wasza.

BANER (*czelnie*).

Wasza łaskawość żarty ze mnie stroi,
Albo na próbę mnie jakąś wystawia.

WIT STWOSZ.

W żarty się z wami nie zwykłem zabawiać,
Lecz widzę że dziś, przy święcie Sebalda,
Zapomnieliście spraw swoich codziennych
Więc je przypomnę waszmości: pieniądze
Są mi potrzebne—raczcie mi je zwrócić.
Może nie miejsce tu na liczbę z wami,
Ależ w tém вина wasza, żem was w domu
Zastać nie zdołał. Pójdźmyż do gospody,
Albo gdzieindziej, jak jest wola wasza.

BANER.

Gdzie chcecie pójde—ależ mistrzu, raczcie
Wyrazić jaśniej swe dziwne żądanie.
Czyż-em ja od was brał pieniądze jakie?

WIT STWOSZ (*do Vischera*).

Co to jest, Piotrze? Czy jakowy szatan
Naraz przedzierzgnął się w tego człowieka,
Albo téż ze mną figle jakieś płała?
Toż trzy tysiące, które ci oddałem
Będzie rok temu i osiem miesięcy,
Za rok i kwartał miały być oddane,
Wraz z częścią trzecią zysku za pożyczkę;
Mam więc u waści dziś cztery tysiące.

BANER.

Czémżem zasłużył na to urąganie?
Mówicie, panie, o swoich pieniądzach,
Które, pół roku będzie temu z górą,
Jak co do grosza wypłaciłem święcie.

WIT STWOSZ.

A więc ja marzę—gdzież jest rewers jego?

Wszakżeś mi rewers swój dał na tę summę.

BANER.

Dałem wam rewers, ale przy wypłacie
Wyscie go, panie zwrócili w me ręce
I w waszych oczach zniszczyłem go zaraz,
Nie wiem więc iście...

WIT STWOSZ (*dobywając rewers*).

A to co jest?

BANER.

Papiér.

WIT STWOSZ.

Cóż na papierze?

BANER.

Widzę pismo jakieś,
Lecz ja niebardzo czytać umiem pismo.

WIT STWOSZ.

Nie umiesz czytać? wszak to twoja ręka!
Wyręcz go, Piotrze!

VISCHER (*czyta*).

„W Imię Boga i Trójcy Świętej! Ja urodzony
„Jakub Baner biorę prostym długiem od sławetnego
„mistrza Wita Stwosza sumnę złotych trzy tysiące,
„które z pomocą Bożą i Wszystkich Świętych za rok
„i kwartał oddam wraz z procentem części trzeciej.
„Tak mi Panie Boże dopomóż. *Jakub Baner, manu
„propria.*“

WIT STWOSZ.

I cóż wy na to?

BANER.

Nie, to tylko słowa,
Które brzmią pięknie, lecz się mnie nie tyczą.

WIT STWOSZ.

Przypatrz się dobrze temu szatanowi,
Jego to Albrecht w marmurze uwiecznił
Jako Judasza, w kościele u fary;
Śmiałem się z tego, dziś rażony-m gromem.

VISCHER.

Łotr to niegodny!

WIT STWOSZ.

Więc nie ty pisałeś

Na pergaminie to w pracowni mojej?

BANER.

Czego żądacie?—słyszę słowa jakieś,
Których znaczenia nie pojmuję wcale.

WIT STWOSZ.

Czytaj mi zaraz, coś tutaj napisał!

BANER.

Już wam mówiłem, że czytać nie umiem.

WIT STWOSZ.

Ty tylko pisać umiesz dobrze, łotrze!

(Uderza go w twarz papierem).

Precz, nikczemniku! gdzieindziej się z sobą
Rozprawiać będziem.

BANER.

Co to znaczy? gwałtu!

Jak wy mnie śmiecie znieważać publicznie,
Obywatela, człeka uczciwego?

WIT STWOSZ.

Precz mi ztąd, podły! uciekaj, bo gotów
Jestem popełnić coś takiego teraz,
Czegobym potem pożałować musiał.
Sądy rozstrzygną.

BANER.

Niechaj rozstrzygają.

Ale dlaczego na rynku mnie łzycie?
Papierem jakimś miga mi przed oczy,
Którego nie znam?.. Co się mieści na nim,
Samście chyba napisali sobie,
Lub podrobili.

WIT STWOSZ.

Nędzny!.. Puść mię, Piotrze!

Niechaj tę żmiję zduszę.

VISCHER.

Daj mu pokój,
 Botłum ciekawych otacza nas wkoło.

HEROLD (*zbliża się*).

Niewolno robić burd przy święcie takiem!

BANER.

A ot ten człowiek lży mnie tu publicznie,
 Grozi zabiciem, pokazuje rewers
 Którego nie znam i żąda pieniędzy.

HEROLD.

To wnies nań skargę, a kłótni nie wszczynaj.

BANER.

Tak téż i zrobię. (*Odchodzi*).

(*Śpiew za sceną. Wchodzi chór pielgrzymów i lud. Śpiewają pieśń o świętym Sebaldzie i ustawiają się przed ratuszem*).

Święty przybyszu z Franków ziemi!

Niemcy ci niosą cześć!

I Norymberga z dziećmi swemi

Pośpiesza hołd ci nieść.

Niemiecką-s ziemię umiłował,

Rzucił swój świetny dwór,

Królestwo-s Boże nam zgotował...

Niemców cię wielbi chór.

Nad młodą i urodną żonę,

Nad marnych rozkosz złud

I nad królewską ci koronę

Milszy był Niemców lud.

Wielki Sebaldzie, nasz patronie!

Błogosław nasze dni!

Miej Norymbergę w swój obronie!

Ona cię wiecznie czi.

HEROLD.

Cech nożowników najprzód występuje;
 Teraz cech tkaczy; tu stolarze idą;
 Malarze wtyle; za nimi kowale...

(*W miarę tego cechy się ustawiają*).

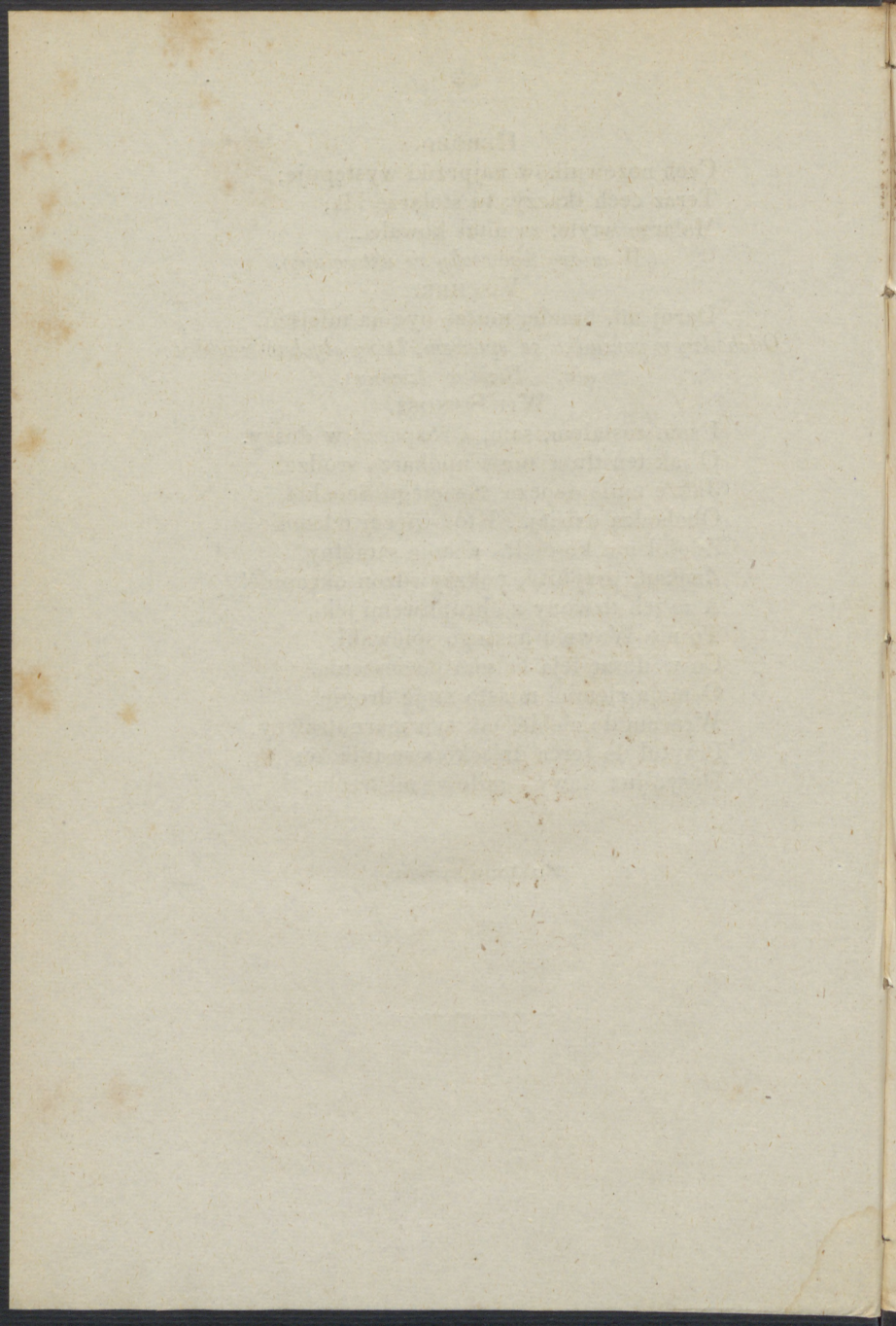
VISCHER.

Daruj mi, bracie, muszę być na miejscu.
*Odchodzą w porządku ze śpiewem, który słychać w oddale-
 niu. Bicie w dzwony*).

WIT STWOSZ.

I sam zostałem, sam, z rozpaczą w duszy.
 O jak ten tłum mnie upokarza srodze!
 Jakże mnie depta! Świętego Sebalda
 Obchodzą dzisiaj... Któż więcej odemnie
 Zdobił mu kościół?.. a stoję samotny,
 Znękan, przybity, pokrzywdzon okropnie!
 A te ich dzwony z chrapliwemi jęki,
 To nie Wawelu naszego śpiewaki,
 Co w duszę leją balsam pocieszenia.
 O moja ziemi! miasto moje drogie!
 Wracam do ciebie, jak syn marnotrawny.
 Przytul do serca dziecko swe tulące:
 Dosyć już sławy—miłości mi trzeba!

(*Zasłona spada*).



A K T IV.

Odśłona I.

Pracownia Wita Stwosza. Pusta izba. Przygotowania do podróży i pakunki.

BEATA.

Puste już ściany—patrzą jak skielety
I zdają nam się urągać złośliwie;
Okropne ściany, rzucam was bez żalu!
Wasze granity, to serca tych ludzi,
Świadkowie łez mych, tęsknoty i cierpień.
Rzucam was, żegnam na wieki, na wieki!
Drogi Albrechcie! ty patrzysz z wysoka
I błogosławisz nam ztamtąd—nieprawdaż?
Czemuż cię niéma? jakżebyś był szczęśliw
Mém szczęściem teraz, kiedym jak jaskółka
Już roztoczyła skrzydła do odlotu!
Marzyłam zawsze o powrocie z tobą,
Z ojcem we troje, a ta podróż nasza
Jakże czarowne obrazy snowała!
Dzisiaj w rozpaczy zostawiam te miejsca,
Bo trzeba było twój śmierci męczeńskiej,
By dla nas powrót zgotować...—Mój Boże!
I zapomniany zostaniesz od świata!
Życie twe przeszło jak jedna modlitwa,
Skromne, spokojne i miłości pełne;

Huczająca sława stroniła od ciebie,
 Boś nią pogardzał, a nosiłeś w duszy
 Bogaty zasób Boskiego natchnienia.
 I nic po tobie, nic złąd nie zabiéram,
 Prócz garści ziemi z twój biédnej mogiły.
 Lecz ileż skarbów przecennej wielkości
 Twa piękna dusza zostawiła w mojej!
 Któż mi to matką najczulszą był w życiu?
 Kto bratem, ojcem, przyjacielem, mistrzem?
 Kto mi ukazał cudnej sztuki tajnie
 I wiedzy Boskiej roztworzył podwoje?
 I dziś dopiéro, gdyś odszedł daleko,
 Zkąd się nie wraca—patrzę w twego ducha,
 Widzę go pięknym, potężnym, wspañiałym,
 Jak cudny posąg, rzeźbion dłutem Stwórcy,
 I w tém podobnam do tych wszystkich istot,
 Z których się cała ziemia nasza składa.
 Lecz ci dorównam, Albrecheicie, dorównam!
 Ten kwiat hodować będę życie całe.
 Biédna miłości, zrodzona na grobie,
 A z łez i cierni w wieniec przystrojona!
 Świecić mi będziesz w wędrówce żywota.
 Śpijże w spokoju, szlachetny mój mężu,
 Tym się pierścieniem łączę z tobą wiecznie
 I wdowie szaty przyoblekam.
 (Wchodzi MIKOŁAJ).

MIKOŁAJ.

Wy we łzach, panno? Konie już czekają
 I rwą wędzidła; radeby odlecieć.
 Czemuż wy we łzach, gdy nam tak ochoczo?

BEATA.

Wrócim niewszyscy, dobry Mikołaju.

MIKOŁAJ.

A no toć prawda, brat Albrecht pozostał,
 Panie świeć duszy jego świętobliwój!
 Nie spodziak on się że tu gości jego

Miedzy obcymi spoczną kiedyś. Zawsze
 Układał plany, że nad szarą Wisłą,
 W domku swych ojców spocznie. Ale trudno,
 Człek inak myśli, Bóg inak układa.
 To téż panisko nasze strapion wielce,
 Osowiał biédak i od owéj chwili
 Znikł uśmiech, znikł i spokój z jego twarzy
 I nic go widać już tutaj nie nęci.
 Oj, trza nam było dawno do dom wrócić,
 Mniejby nas nieszczęść dotknęło!..

BEATA.

To prawda.

WIT STWOSZ (*wchodzi we wzburzeniu wielkiém*).

Przysiągł fałszywie i ci niktzemnicy
 Pochopnie owę przysięgę przyjęli.
 Mnie za fałszerza ogłoszono w mieście,
 Mienie mi całe wydarto okrutnie
 I srom potwarzy na me życie czyste
 Rzucono. Boże! nie masz-że już kary,
 Nie masz piorunu na te nieczne głowy?!

BEATA.

Ojczy, co mówisz? Kto przysiągł fałszywie?

WIT STWOSZ.

Nic, nie, Beato! nie trwóż się daremnie;
 Natychmiast listy wysyłam do panów,
 By mnie bronili przed zdzierstwem tych zbójców.
 Wyjazd odłożym jeszcze na dni parę,
 Musim odłożyć—pojmujesz, Beato?

BEATA.

A więc pieniądze...

WIT STWOSZ.

Skradł je nam ten szalbierz;
 Ależby Boga nie było na niebie,
 Gdybym odzyskać nie miał swego mienia.

BEATA.

Mówisz że przysiągł: to i koniec sprawie,

Bo któż poświadczy za tobą, mój ojcze?
Albrecht już w grobie, on jeden mógł zeznać
Żeś dał pieniądze.

WIT STWOSZ.

Tak, Albrecht już w grobie,
A słowa jego brzmią mi dotąd w uszach:
„Papiér jest martwy i cierpliwy...” — prawda!

BEATA.

Ojcze, nie pora dziś rozpamiętywać,
Co się już stało, tego nie cofniemy...
Konie gotowe — wracajmy do domu!

WIT STWOSZ.

Z czémże wrócimy? wiesz że nic nie mamy.
Możnaż przedsiębrać tak daleką podróż
Z próżną kaletą, w podartej odzieży?
Gdy się pokażem tak między swoimi,
Będą szydzili, żeśmy żebrakami
Wrócili do nich.

BEATA.

Nie będą szydzili!

W sukniach żebraczych mieszkał duch królewski.
O, zrzuć już, ojcze, tę suknię świetlaną,
Którą tu błyszczysz, bądź znów dawnym Stwoszem.
Wyszliśmy biedni i wrócim biednymi.
Czyż nie rozdałeś wszystkiego ubóstwu,
Gdyśmy nasz Kraków opuszczali — pomnisz?

WIT STWOSZ.

Wtedy był młodszy i nadziei pełen;
Dziś moje skrzydła podcięte okrutnie,
Dziś ku starości chylę się... Beato!
Mam ciebie jedną — gdybym zmarł, o Boże!
Cóżby się z tobą stało, dziecko drogie?
Na łasce ludzi zostałabyś biedna.

MIKOŁAJ.

Panie mój dobry, i ja proszę swoje
Zanoszę do was: wracajmy do domu!

Choćby nam przyszło o żebranym chlebie
Z kosturem wracać, toć i tak szczęśliwsi
Będziem pod niebem, niżeli w tém mieście,
A byle dopaść naszych granic szlaku,
To i po biédzie, bo u nas wbród chleba,
I serca u nas nie z głazu, jak tutaj.

BEATA.

Tak, dobry starcze, wróćimy! nieprawdaż?

WIT STWOSZ.

Nie, moje dziecię—tak wrócić nie mozem.
Mój wyjazd jawny musi być i głośny.
Swój krzywdy płazem tak puścić nie mogę.
A potem wiész-że jaki zarzut na mnie
Cięży ohydny? Wszak jam domniemanym
Fałszerzem został—bo ten nędznik zeznał,
Że rewers, który-m złożył na ratuszu,
Jest podrobionym. I jakże mam wracać?
Mamże po sobie hańbiące nazwisko
Zostawić tutaj? Zaczekajmy jeszcze,
Póki ta sprawa nie wyjdzie na jaśnie.
Toć tylu mamy tu orędowników,
Którzy nas krzywdzić nie dozwolą....

Wchodzi WOŹNY miejski z PACHOLKAMI.

BEATA (*tuląc się do piersi ojca*).

Ojczel!

Czego ci ludzie chcą?.. Złowrogo patrzą,
Jakby wysłańcy z katowni piekielnych.

WOŹNY (*do pacholków*).

Zostańcie w sieniach.

WIT STWOSZ.

Kto wy? czego chcecie?

WOŹNY.

W imieniu prawa i z rozkazu rady
Jesteś uwięzion, mistrzu Wicie Stwoszu!
Udasz się z nami na ratusz niezwłocznie.

WIT STWOSZ.

Ja uwięziony? Mnie więzić niewolno,
Mnie król mój broni, ja praw waszych nie znam.

WOŹNY.

Twój król króluje na swoim królestwie,
A u nas w mieście burmistrz sądy sprawia.
Więc nie czyn zwady, mistrzu, i pójdź z nami,
Tam tłumaczenia i obronę przyjmą.

WIT STWOSZ.

Ja mam pójść z wami sromotnie przez miasto?
Precz z mego domu! sam pójde na ratusz,

WOŹNY.

Opór daremny—jest nas tu dwudziestu.

WIT STWOSZ.

Prawda, szalony-m!.. Czegóż chcę od ręki?
Wszak ona tylko głowy jest narzędziem.
Beato droga i ty Mikołaju,
Czuwajcie pilnie, czy na listy moje
Nie przyjdzie respons.

BEATA.

I ja pójde z tobą,

Ja nie opuszczę ciebie.

WIT STWOSZ.

To niedługo

Potrwać tak może. Landgraf lada chwila
Lub biskup pismem wstrzymają ich napad.

WOŹNY.

Czas w drogę, mistrzu!

WIT STWOSZ.

Bądź zdrowa, Beato!

Ty, Mikołaju, czuwasz nad nią wiernie.

((Idzie ku drzwiom; zegar uderza godzinę. Wit wstrzymuje się)).

Nie takich godzin czekałem od ciebie!

(Wraca do córki wzruszony).

Beato moja!

WOŻNY .

W drogę, mistrzu, w drogę!

(*Odchodzą*).

BEATA.

Ojczel!.. porwany!.. Ojczel mój jedyny!..

(*Pada na kolana*).

O Boże wielki! wleńże w duszę moję

Całą odwagę, całą siłę meża!

Daj mi roztropność, daj, Panie, wytrwałość,

Wiedzę i rzeźkość i wszystkie te dary,

Które w nieszczęściu dźwigają człowieka!

Niech głos mój, z piersi znękanój dobyty,

Dobiegnie tronu Twego, o Przedwieczny!

(*Po chwili, wstając*).

Zostań tu, starcze—ja biegnę ratować

Ojca!

MIKOŁAJ.

Wy panno?

BEATA.

Do serc pukać będę,

Wolać litości—chociażby mi przyszło

Piersi rozedrzeć... Ocalić go muszę!

(*Wybiega*).

(*Zasłona spada*).



Odłona II. (*)

Pracownia Steinbauera. — Duża izba podłużna. — W głębi głównej wejście. Po bokach izby z jednej i drugiej strony warstaty czeladnie ków. Okna z obu stron. U góry przy suficie wisi wielkie dłuto z młotem, godło rzeźbiarzy, opasane wieńcem złocistym. W środku izby ustawione są symetrycznie prace, składające się z samych małych figurek, wątpliwiej wartości. Figurka Matki Boskiej, z księżycem pod nogami, w kilkunastu okazach ustawiona rzędem. Między figurami a warstatami dwa przejścia.

STEINBAUER. PODSTARSZY CECHU.

STEINBAUER.

Wielka to była ona siła nasza,
Nim te plugastwa do nas nadciągnęły,
A dziś widzicie co się dzieje z nami:
Krnąbrnych braciszków już ani poskromisz,
Codzień to jeden wymyka się chytrze
I na swą rękę wózek dalej ciągnie.
Dlatego, bracia, murem nam stać trzeba,
Bo runiem wszyscy.

PODSTARSZY.

Święte prawa cechu!
Nam ich pilnować i stać przy nich wiernie.

STEINBAUER.

Więc nie folgujcie i wykonać wszystko
Co tu zalecam... Niklasowi Bendzmer
Przykazać ostro, żeby nie przyjmował
Żadnej roboty u Adama Krafsta;
A zaś Jerzego Katzlera młodszego
Niech żaden z mistrzów przyjąć się nie waży.
Jest wykluczony i wypędzon z cechu:
Śmiał łżyć ustawy i prawa cechowe...

(*) Odłona ta w przedstawieniu może być wypuszczoną.

Niéma dla niego miejsca w Norymberdze.
 Zaś Julius Stromer da trzy funty wosku,
 Że podsłuchiwał na naradzie starszych;
 A Gotfryd Braumann zapłaci dwa złote,
 Zato że na mszy żałobnej nie bywa.
 Oto już wszystko z dzisiejszego zboru,
 Idźcież i spełńcie rozkaz co do joty.

PODSTARSZY.

Chciałem was spytać, przeznacny cechmistrzu,
 O Wita Stwosza.

STEINBAUER.

Nie nie wiem w tej mierze,
 To rzecz nienasza. Zawinił—ukarzą,
 A nam przez szpary na to patrzeć trzeba.

PODSTARSZY.

Taki człek piękny i w brud wlaźł sromotnie.

STEINBAUER.

Zawsze tak bywa, skoro kim owładnie
 Pycha... Bóg z wami!

PODSTARSZY.

Z wami wzajem, panie.

(*Odchodzi*).

STEINBAUER.

Kiedyż zamilkną te głosy pochwalne,
 Które polykać muszę każdej chwili,
 A które palą mi wnętrzności jadem?
 Kiedyż już strawę pożywniejszą znajdę?
 Kiedy usłyszę luby dźwięk dla ucha:
 Podły—niegodny—fałszerz—zdrajca niecny!
 To mi harmonia, to muzyka słowa!

(*Wchodzi* TUCHER).

Czekam cię dawno. Już rada skończona?
 Cóż się tam dzieje?

TUCHER.

Jutro sądzić będziem.

STEINBAUER.

Jak w radzie stoi?

TUCHER.

Geüder, Nutzel nasi;

Kohler nie przyjął udziału w naradach,
Największy kamień usunięty z drogi.

STEINBAUER.

A Volchmer, Grunther?

TUCHER.

I ci nie przyjęli.

STEINBAUER.

To źle się święci, bo wyrok uchyla.

TUCHER.

Płonna obawa: jest nas trzech siłaczy,
Reszta z burmistrzem przejdzie do nas łącno.

STEINBAUER.

Co odpowiada i czém się zasłania?

TUCHER.

Niczém.

STEINBAUER.

Co mówisz?

TUCHER.

Nic nie odpowiada,

Ni się zasłania.

STEINBAUER.

A tortura?

TUCHER.

Chciałem,

Ale stanowczo oparli się temu.

Niéma go na czém zahaczyć i złapać
Za słówko nie da. Zgodzili się tylko,
Żem wymógł na nim torturę-kamieniem,
Iż się wydalić z miasta nie pokusi;
Bo głupi burmistrz nastaje wciąż na to,
Boi się strasznie, by nam nie zaszkodził.
Gdym chciał go dalej torturami prażyć,

Aby za jedną drogą i o sprawę
Jego zaczepić... wtenczas zęby zaciął,
A burmistrz przestać kazał — niedołęga!

STEINBAUER.

I nie nie mówi? Boję się o skutek,
Wydaje mi się nieprawdopodobne,
Byście ten wyrok wydali.

TUCHER.

Zobaczysz.

Liczy on ciągle na pomoc u szlachty,
A córka jego biega jak szalona:
Gońców rozsyła z prośbami do panów;
Lada dzień listy przyjdą do ratusza,
By sprawę wstrzymać. Burmistrz zwleka ciągle,
Lecz go popędzim.
Jedna rzecz trwogą nabawia mnie dużą:
Vischer poprzysiągł, że złapie Banera
I póty trzymać będzie w swoich szponach,
Aż całą prawdę wydobędzie z niego.
On przewąchiwa...

STEINBAUER.

Vischer?... tego zawsze
Się obawiałem. Ha! gotowo wszystko
Runąć i gruzy przywalić nas swemi.

TUCHER.

Banera trzeba rychło ztąd wyprowadzić;
Choćby na tamten świat niechaj wędruje.

STEINBAUER.

Jestem spokojny — szlę go do Frankfurtu,
A tam się złatwią z nim bez omieszkania.

TUCHER.

A teraz, bracie, dawaj coś obiecał.

STEINBAUER.

Aż po wyroku.

TUCHER.

Nie, daj przed wyrokiem!

STEINBAUER.

Kiedy nie wierzę w ten wasz wyrok.

(*Wchodzi CZELADNIK*).

CZELADNIK.

Mistrzu!

Córka Stwoszowa prosi miłość waszą,
Abys ją przyjął. Czy każecie wpuścić?

STEINBAUER.

Córka Stwoszowa? Niech zaczeka trochę.
Wejść tam, Tucherze, zaraz cię zawezwę.

(*Tucher odchodzi*).

Mądre stworzenie! chce i mnie ugłaskać,
Jak już ich tylu uchodziła chytrze.

Wpuść ją, niech wejdzie!

(*Siada przy stole nad książką. Beata wchodzi*).

BEATA.

Boże sprawiedliwy!

Te jego prace, to szyderstwo istne.

Jakaś woń chłodu w téj izbie rozlana

I niby z trumny owiewa mnie całą.

Odwagi,—ojcze!

STEINBAUER.

Przybliżcie się, panno,

Steinbauer stary nie takie straszidło.

Zdziwionaś memi pracami—nieprawdaż?

Nie takie gładkie jak ojca twojego,

Ale lud przywykł je czcić i szanować.

Jemu nie trzeba wyszukanych twarzy,

Ni podobieństwa świętych z ludźmi wcale:

Inna rzecz człowiek, a inna rzecz święty.

BEATA.

Panie!.. darujcie!.. nie to chciałam mówić.

Wy macie słuszość i pojęcia swoje

Na przekonaniu gruntujecie starém;
Wy pojmujecie nasz kunszt po swojemu,
Spiérać się z wami już nie będę więcej.

STEINBAUER.

I dobrze zrobisz, bom ja już zastary,
By brać nauki—choć władać dobrze
Umiész językiem, jako dałaś dowód
Dwa lata temu, w kościele Wawrzyńca,
Wobec onego króla... Mnieś przekonać
Nie potrafiła.

BEATA.

Zapomnijcie o tém,
Przebaczyć raczcie uniesieniu memu,
Żem nie umiała poszanować waszój
Powagi, waszych lat... innie należało
Ustąpić, zmilcząć...

STEINBAUER.

Jużem wam nie gniewny,
Miła panienko. Stawałaś w obronie
Swojego ojca i to cię rozgrzėsza.
Cóż cię dziś do mnie sprowadza, dziewczeczko?

BEATA.

Wićcież o strasznój téj przygodzie naszój?

STEINBAUER.

Wiem, moja panno. Ojciec wasz podobno
Rewers sfalszował.

BEATA.

Mój ojciec? O Boże!
Nie powtarzajciez tych słów obelżywych,
Bo wy w nie sami nie wierzycie pewnie.

STEINBAUER.

Tak powiadają. Nie ma czém odeprzeć
Tego zarzutu, ni żadnych dowodów
Na swą obronę, a tamten zaprzysiągl.

BEATA.

Ależ to nędznik, człek bez czi i wiary!

STEINBAUER.

Tak, różnie o nim ludzie powiadają;
Ale przysięga, moja panno miła,
To nie na żarty—ona jest przysięgą
I nikt na marne ona nie szafuje.

BEATA.

Człek ten dla grosza zdolny do wszystkiego.
O panie! ojczel! opiekunie bractwa!
Nie wiem jak zwać was, boć wszystkie te miana
Wam się należą—możecież na chwilę,
Na jedną chwilę przypisać występki.
Tak straszny i tak niecny—ojcu memu?

STEINBAUER.

Ja tu nie mówię nic—dowody mówią,
Przysięga stoi.

BEATA.

Jestescie nań gniówni;
Nasze nieszczęście niech wasz gniew rozbroi.
Macie urazy swe do towarzysza
Jednego kunsztu, widzicie w nim mistrza,
Co wam w robocie waszój staje sporny;
Lecz tutaj człowiek pokrzywdzon niegodnie.
Błagam ze łzami: litości dla niego!

(Kłeka).

Ratujcie ojca! Wszakże hańba jego
I was dotyka. Zlitujcie się, panie!
Wy macie możne wpływy w radzie naszój,
Wasze wstawienie wyjedna mu łaskę.

STEINBAUER (podnosząc ją).

Powstańcie, panno! Co będzie w mój mocy,
Uczynię chętnie, aby go wydzwignąć.
Dobrzeście rzekli: te swary i gniewy
Mogą trwać sobie, ale swoją drogą
Brata ratować należy w nieszczęściu.

Rozważmy dobrze co czynić należy.

(*Sadza ją*).

Ja, jako cechmistrz, nie siedzę na radzie,
 Bom się wymówił, by mnie nie sądzono
 O fawor jaki. Lecz ile wiem z boku,
 Wszyscy rajcowie są zawzięci srogo
 I w to jedynie biją ustawicznie,
 Że się zbyt hardo i upornie stawia.
 Oni by jego uwolnili dawno
 I dla przykładu ukarali lekko;
 Ależ ten upór, ta pycha ich drażni.
 Twarda to sztuka: tylko zęby zatnie
 I nic wydobyć nie potrafią z niego.
 To ich oburza. Żeby chociaż słówkiem
 Jakiem łagodnym, pokornym ich zmiekczył.
 Otóż, panienko, ja myślę że jedna
 Tylko nam droga... Ty wpływembyś swoim
 Dużo, o dużo wymódz na nim mogła.
 Niechaj się przyzna wręcz i do wszystkiego.

BEATA.

Jakto?

STEINBAUER.

Niech wyzna i prosi o łaskę,
 Niech na potrzebę zwali onę winę,
 Mówiąc że biada przycisła go wielka,
 A ujrysz że go ulaskawią pewnie.

BEATA.

Do czego ojciec ma się przyznać? mówcież!

STEINBAUER.

No, do owego sfalszowania przecie,
 Boć że tam było... to wiadomo...

BEATA (*patrzy długo na niego, wreszcie z wybuchem gniewu
 i oburzenia wykrzykuje*):

Podły!

(*Wybiega*).

STEINBAUER (*wściekły, biegnie prędko do szkatułki, wydobywa łańcuch złoty i woła głośno*):

Tucher! Tucherze! masz swój łańcuch, który-ć
Przyrzekłem. Bierz go... on twój, a pamiętaj
Dotrzymać słowa.

TUCHER.

Będziesz kontent ze mnie.

(Zasłona spada).

A K T V.

Sala na ratuszu, w stylu gotyckim. W głębi balkon, wychodzący na rynek. Po obu stronach balkonu okna. Na przodzie sceny, po prawej od aktorów, duży stół; na nim pergaminy i książki. Przy stole na podwyższeniu siedzenia dla rajców. W środku krzesło burmistrza; za krzesłem drzwi; nad drzwiami zawieszony duży krucyfiks, z dwiema figurami po bokach, roboty Wita Stwosza. Naprzeciw stołu z lewej główne wejście, z obu stron którego ławki. Na samym przodzie z lewej komin, na którym pali się ogień.

BANER. STEINBAUER *wchodzi prędko.*

STEINBAUER.

Baner tu jeszcze?

BANER.

I cóż to za dziwo?

Lękacie mnie się, jak gdybym miał rogi.

STEINBAUER.

Co ty tu robisz?

BANER.

Czytano mi wyrok.

STEINBAUER.

Uchodź ztąd prędko, wyjeżdżaj niezwłocznie,
Zanim się jeszcze egzekucya spełni.

BANER.

Czemuż to ja mam wyjeżdżać niezwłocznie?
Niechaj on raczej idzie ztąd do czarta!

STEINBAUER.

On tu zostanie—za murami miasta

Wciążby nas nękał i nie dał spokoju,
A tutaj mu się założy kaganiec,
Gdy warknąć zechce.

BANER.

A ze mną co będzie?
Czy mnie kaganiec także założycie?

STEINBAUER.

Ty do Frankfurtu natychmiast wyjeżdżaj.

BANER.

Ja do Frankfurtu?

STEINBAUER.

Chcesz mieć całą głowę?

BANER.

Któż się ośmieli mnie zaczepić?

STEINBAUER.

Vischer,

Synowie jego, liczni przyjaciele...

BANER.

Czyż nie możecie bronić mnie przed nimi?

STEINBAUER.

Szaleńcom lepiej ustępować z drogi.

BANER.

Dlatego żem wam oddał tyle usług,

To jak złoczyńca mam się tulać?

STEINBAUER.

Wróćisz,

Gdy wszystko tutaj powoli ucichnie.

BANER.

Chcecie mnie pozbyć się, mości cechmistrzu?

STEINBAUER.

Nie, chcę cię tylko chronić przed napaścią.

BANER.

Prawo mnie chroni.

STEINBAUER.

Słuchaj! tu niema chwili do stracenia.

Vischer z synami, z ludźmi Pirkheimera

Przysięgli zemstę, a jakież to prawo
Może przed taką zgrają cię zasłonić?

BANER.

O bogdaj jasne gromy uderzyły!
Byłem spokojny, uczciw i szczęśliwy,
Bo pracowałem na kawałek chleba
Jak Bóg przykazał. Struliście mi życie,
Wciągnęli w spisek przeciwko człękowi
Co winien Bogu ducha. Kazaliście
Przysiądz fałszywie i zgubiłem duszę.

STEINBAUER.

Słuchaj, Banerze!...

BANER.

Dziś, gdyście dopięli
Swego zamiaru, toście mnie rzucili,
Kopnęli nogą, jak stłuczony garnek!..
Każecie rzucać miasto i rodzinę
I mienie moje uczciwie zdobyte,
Dlatego żeby na mnie spadła wina,
A wy swe ręce umyli.

STEINBAUER.

Przestańże, głupcze!

BANER.

Tak, zwiecie mnie głupcem...
Gdzie się podzieję i co zrobię z sobą,
Ścigan od wszystkich, wzgardzony, zabity
Na czci, honorze?..

STEINBAUER.

Komu ty to prawisz?

BANER.

Wam, wam, cechmistrzu, coście, niby szatan,
Struli mój spokój, usidlili duszę,
Przyobiecali mi góry ze złota,
Łudzili chytrze, nie dali wywczasu
Ni dniem, ni nocą—dopókim swęj duszy
Diabłu nie sprzedał.

STEINBAUER.

Wybornie! cóż dalej?

BANER.

To, że nie myślę więcej się poświęcać
I grzbietu swego za was nie nastawię.
Dacie mi zaraz to coście przyrzekli?
Bo się nie ruszę krokiem z Norymbergi,
A jeśli tutaj nie będę bezpieczny,
To wyznam prawdę.

STEINBAUER (z zimnem szyderstwem).

A co potem?..

BANER (zmieszany).

Potem?..

STEINBAUER.

Widzisz, nędzniku, przy brzegu-ś utonął.
I ty myślałeś że Steinbauer stary
Jest tyle głupi, że się nie upewni
Przed takim łotrem jak jmcí pan Baner?
I ty myślałeś żeś ja nieświadomy
Gdzie się udaje?.. A sprawa z Szarfsteinem
I Brakenburgiem? przysięga fałszywa,
Coś złożył w grodzie?

BANER.

Ja?..

STEINBAUER.

A sprawa z Ditzem,

Któregoś okradł?

BANER.

Zkądże?..

STEINBAUER.

Sprawa wdowy

Stein o otrucie?

BANER.

Niechże Bóg uchowa!

STEINBAUER.

Milcz! A fałszywe kamienie, zwrócone,

Miasto prawdziwych, Grzegorzowi Heintze?
 Każda kropelka krwi coć w żyłach płynie
 Piekłu przypada. I ty... ty nędzniku
 Śmieiesz o honorze, sumieniu mi prawić?
 Jesteś narzędziem podlém, które płacę!..

BANER.

To są potwarze, mam wrogów bez liku...

STEINBAUER.

Nie—są dowody, są i pergaminy,
 Co świadczyć będą. Więc dosyć lamentów!
 Wiemy o wszystkiém. Pamiętaj że gdyby
 Zagadał w tobie jaki głupi skrupuł,
 Trzymam cię w rękach, jak wróbla na sznurku,
 I gdybys z jednej zbrodni się wywinął,
 Druga gotowa, a gdy i ta chybi,
 Trzecia i czwarta stanie do pomocy.
 Mnie nie zaszkodziś, wyprę się spółnictwa,
 A mnie uwierzą.

BANER.

I nacóż to wszystko?

Mówilem w żalu... Com zrobił, tom zrobił,
 A tylko dla was, miłościwy panie.

STEINBAUER.

Schowaj-że w kieszeń swój honor z sumieniem.

BANER.

Lecz poco kram ten? dlaczego sromotnie
 Ustąpić z placu mam temu włóczędze?

STEINBAUER.

Milcz! to jest sztukmistrz pierwszy w Norymberdze,
 Ale nie uczcił naszych prac i zasług
 I za to cech go ukarze straszliwie.

BANER.

Szaleniec! żeby wojnę z cechem wzniecać!..

STEINBAUER.

Ty idź, bo rada za chwilę się zbierze,
 By mu ogłosić wyrok... Niech się potem

Spełni to na nim, co mu los przeznaczył.

BANER.

A niechże wasza miłość nie zapomni
Zniszczyć rewersu.

STEINBAUER.

Bądź o to spokojny!
Ogień pochłonie wszystkie te papiéry.

BANER.

Niech wasza miłość przebaczyć mi raczy
I nie wypuszcza mię ze swój opieki.

STEINBAUER.

Przebaczam ci tę komedią cnoty,
Mój ty poczciwy i zacny Banerze!..
Wiem że się nigdy nie powtórzy więcej.
Tego com przyrzekł święcie ci dotrzymam:
Akcyza solna do ciebie należy.

(Daje mu papier).

Glejt bezpieczeństwa, przez ratusz wydany,
Masz tu na drogę—jedziesz do Frankfurtu;
Wiemy że masz tam wiele interesów
I pewną sprawę nieczystej natury.

BANER.

Czysta jak słońce!.. Ależ miłość wasza
Znasz moje myśli!..

STEINBAUER.

Jak mą własną kieszeń.
Idź temi schody, nie chcę by cię ze mną
Widziano razem.

BANER.

Sługa wasz do zgonu.

STEINBAUER.

Wiész teraz wasze z kim masz do czynienia.
Gdybyś nas zdradził, to tysiąc sztyletów
Nad twoją głową błysnie jednej chwili!
Cech nie żartuje.

BANER.

Żegnam was w pokorze.

(Odchodzi.)

STEINBAUER.

Ha! już ty więcj tu nie wrócisz, ptaszku!

(Idzie do okna w głębi).

Tłum już zebrany... wspaniała dlań uczta!

Alem rozdmuchał ten płomień piekielnie!

Zamknęli oczy na świadectwa wszelkie

I uwierzyli że rewers sfalszowan.

Niewiele trudu i pracy poniosłem,

Aby go zgubić. Ha! dumny włóczęgo!

Buntem zarazić chciałeś nasze miasto!..

„Cech, to kajdany“—rzekłeś wobec tłumu,

„A duch mój wolny, skrepować się nie da.“

Już w ślad za tobą poszło innych wielu,

Mnie nie słuchają, gardzą doświadczeniem.

„Precz stara modło! my dziś nową tworzym.“

Głupcy wierutni! Rzeźbią i malują

Ludzi żyjących, a w naród chcą wmówić,

Że to są święci Pańscy.

Szlachta, uczeni, wiershokletów zgraje

Czczą ich jak bogów—nasze prace poszły

Już w poniewierkę i tylko na targu

Sprzedać się dadzą... Koniec świata istny.

(Wchodzi DEICHSLER).

DEICHSLER.

Eritis sicut Di, mówił szatan

Pierwszemu ojcu, Adamowi w raju.

I Adam pychą nadał się nikczemną

I z raju za to wypędzony został.

Tak, tak, to pycha wiedzie na bezdroże:

Już Verulamius pisał o tém wiele.

(Spostrzega cechmistrza.)

A tuś mi waszel! *Homo quaestionis*,

Cechmistrz sławetny... a tam rada nasza

Już się zebrała z wielbnym burmistrzem
I oczekują łaskowości waszój.

(*Steinbauer chce odejść.*)

Festina lente! Muszę wam powiedzieć
Choćby słów parę o tym delinkwencie.
Powracam właśnie *ex carcere urbis*,
Gdzie miałem spisać ostatnie zeznanie.
To człek z kamienia, *breviter* wam powiem,
I zbrodzień wielki.

STEINBAUER.

Wiem ja o tém dobrze.

DEICHSLER.

Wy nie możecie wiedzieć tego tyle,
Ilem ja świadom—albowiem mi znane
Wszystkie wybiegi i zbadalem dobrze
Ich *characteres*. Ja już lat czterdzieści
Jak patrzę na to... i powiem wam, panie,
Że cała jego wewnętrzna *persona*
Przedemną leży jasno, jak na dłoni.

STEINBAUER.

I cóż, żałuje, czy błaga o łaskę?

DEICHSLER.

Otóż wam mówię, że na dwa gatunki
Dzielę zbrodniarzy. Piérwszy z nich stanowią.
Ludzie wpół tylko skażeni złym duchem,
I ci się łaszą, ci płaczą i proszą,
I przysięgają poprawę wieczystą.
Dla takich pręgierz zbawiennym jest środkiem.
Ale są drudzy, wykuci z kamienia,
Co zęby zatną i słówka jednego
Z nich nie wyciśniesz—do takich należy
Nasz majster Wit Stwosz, *homo maleficus*,
I dla takiego dobry tylko topór.
Jest przy nim jego stary, wierny sługa...
Co ten narzekań i płaczów wyprawia.
To jakby jego kara spotkać miała.

Gadał mu ciągle, aby prosił radę,
 Że ona pewnie zlituje się nad nim
 I ulaskawi.... I cóż wy powiecie?
 Kiedy nie ryknie swym straszliwym głosem:
 „Jeżeli słowo o radzie mi wspomnisz,
 Wnet głowę sobie o mury roztrzaskam!“
 Tamten się cofnął i pobladł ze strachu,
 A ja struchlałem, bom widział mu z oczu
 Że gotów spełnić...

STEINBAUER.

To szatan, nie człowiek.

DEICHSLER.

Verus satanas. Przystąpiłem drżący
 Z pliką papierów, bo dwóch mych pacholków
 W sieni zostało. Zacząłem go badać:
 Nie odrzekł słowa, tylko drzwi mi wskazał,
 A z tak okropnym gestem i spojrzeniem,
 Że mimowoli wyniosłem się z lochu.
 Potém się cały pogrążył w dumaniu,
 Martwy, kamienny, zimny... istny posąg.
 Jak-em wam mówił: widziałem tu wielu,
 Ale ten chyba jest ich wszystkich królem.

STEINBAUER.

Tak, on jest królem, i za to téż właśnie
 Koronę z cierni włożą mu na głowę.

(*Odchodzi.*)

DEICHSLER.

Koronę z cierni? co ten człowiek plecie?
 Dziwne pomysły nasz pan cechmistrz miéwa.
 Jemu się stryczek należy solennie.
 Już ja to dawno mu przepowiadałem.
 Bo co to, panie, za szalona duma!
 Czapka na głowie, jakby przygwożdżona;
 Nie uczcił nigdy ni władzy, ni człeka,
 A gdy na ratusz wchodził... istny książę!
 Widziałem rajców, jak zęby ścinał,

I powiedziałem: źle ci będzie, człeku,
 Lepiejbyś został w swojej Polsce wiecznie.
 Że majster wielki, to niema pochyby,
 Bo jak on pięknie tych świętych wyrabia!
 Zda się że żyją! (*Patrzy na krucyfiks*)

Ten nasz Chrystus właśnie
 Jakby przemówić chciał z krzyża do ludzi.
 A jak do niego podobnym się zdaje!..
 Tfu! czy to czary?.. Dawniej nie widziałem
 Że był podobnym... a teraz w to wierzę,
 Co niegdyś cechmistrz rozповідаł w izbie:
 Kajfasz podobien do pana burmistrza,
 A Piłat poncki, to istny pan Tucher.
 Z razu-m nie pojął tych słów płataniny,
 A teraz widzę że ich to wyrzeźbił,
 Dlatego tacy zazarci na niego,
 Tucher szczególnie. A to mi poganin!
 Brać wzór z burmistrza na swego Kajfasza!
 Zato też kara straszliwa go dotknie.
 Wciągnijmy jego sprawę do kroniki.
 (*Wydobywa dużą księgę*).

Na czém stanąłem? (*Czyta*).

Jan i Jakub Millerowie,
 Obaj straszni złoczyńcowie,
 Po drogach wciąż rozbijali,
 Ludzie zacne napadali.
 Dużośmy strachu zażyli,
 Nim ich wreszcie uchwycili.

Et caetera... dosyć!

Sprawa rabusiów... Teraz fałszerz idzie.
 Toż nie pokłócą się oni tu z sobą.
 Niech za lat setki ludzie o nich wiedzą.
 (*Pisze i głośno powtarza, licząc zgłoski na palcach*).
 Pewien snycerz, Wit Stwosz zwany,
 Zrobił rewers fałszowany.
 Chciał się łatwo ubogacić,

Za co musiał honor stracić,
 Bo go na tortury wzięto,
 A potem w Barbary święto...
 (*Wpada BANER, blade i zdyszany*).

BANER.

Już ujść nie można. Tłumy zalegają
 Ratusz i rynek, a Vischer z synami,
 Uzbroyon w młoty, dybie przed ratuszem.
 Zgniotą mnie, jeśli w ich ręce popadnę.

DEICHSLER.

Cóż, mości Baner, masz zadość swój skardze.
 Czy chcesz się karze przypatrywać zbliżka?

BANER.

Nie, ja chcę wyjść ztąd... którądy mi droga?

DEICHSLER.

A jakżeś wszedł tu?

BANER.

Głównemi schodami.

Lecz w czasie tego tłum się zebrał wielki
 Przed samém wyjściem, tak że już nie moge
 Ztąd się wydostać.

DEICHSLER.

Wyjdiesz przez *conclave*,

Ale tam teraz posiedzenie rady.

BANER.

Ja muszę wyjść ztąd! Niech mi straż dodadzą,
 Inaczej życie me w niebezpieczeństwie.
 Vischer uzbrojon odgraża się zemstą...

DEICHSLER.

Ho! to zła sprawa! Dam znać burmistrzowi.

(*Odchodzi.*)

BANER.

Przeklęci! ledwie zoczyli mnie we drzwiach,
 Jak psy się wściekle rzucili obcesem,
 Vischer na czele. O, jeżeli dzisiaj
 Jego pazurom wyslizgnąć się zdołam,

To już nieprędko tutaj mnie zobaczy.

(*Głos burmistrza za sceną*).

Łuczników zwołać, a izbę obstawić,

I ratusz cały mieć na oku bacznie!

Banera małą furtką wyprowadzić!

Wchodzą BURMISTRZ, TUCHER, NUTZEL, GEUDER, RAJCY.

NUTZEL.

Niedobrze wróży ten niepokój w mieście.

BURMISTRZ.

Ogłosić w rynku przez woźnego edykt,

Że jeśli krnąbrni adherenci Stwosza

Kłócić porządek ośmielą się w mieście,

To głowa jego jest w niebezpieczeństwie.

(*Zasiadają. Wchodzi KOHLER*).

NUTZEL.

Patrzcie, rajcowie, stary Kohler idzie.

BURMISTRZ.

Nasze pokorne służby, panie Kohler!

Wielki to honor dla izby ratusza.

KOHLER.

Ja wam honoru nie robię, rajcowie,

Bo wiem że mało dbacie o mą radę.

Dajcie mi stołka—tylko nie tam z wami,

Tu mi go stawcie—ja przy was nie siadę,

Bom dziś nie sędzią, lecz obrońcą Stwosza.

BURMISTRZ.

Wszak wzywaliśmy was uprzejmie, panie,

Ale nas butną zbyliście odmową.

KOHLER.

Bom wiedział że ten głos mój, prawdą brzmiący,

Będzie wam głosem wołania na puszczy.

BURMISTRZ.

Krzywdzicie radę i nas, panie Kohler.

Brakło nam bardzo waszego rozumu

W sprawie tak dziwnej, jak właśnie jest owa.

KOHLER.

Nie zrównoważyłby waszój krewkości.

BURMISTRZ.

Jakto, sǎdzicie?..

KOHLER.

Zanadto gorǎco

Jeliście sprawę i wzięli do sądu.

Choć nie bywałem na waszych naradach,

Znam cały bieg jěj. A czy těj wam przyszło

Na myśl, by badać dawne jego życie?

Wszak to człek w latach... pięćdziesiąt ich przeżył

Między swoimi i patrzajcie, jakie

Zacne świadectwo dali o nim bracia.

(*Wyjmuje z torby pergamin*).

Nutzel, przeczytaj, bo już moje oczy

Niedomagają.

NUTZEL (*czyta*).

„My rajcowie i burmistrz miasta stołecznego Krakowa, na żądanie przewielebnego jmcu pana Krzysztofa Kohlera, starszego rajcy sławetnego miasta „Norymbergi, zaświadczamy: jako Wit Stwosz, rzeźbiarz, malarz i sztycharz, wielce w świetnej swojej „sztuce biegły, którego prace w naszym grodzie słyną i na wieki słynąć będą, jest nam drogim i ukochanym tego naszego miasta obywatelem, dziwnie „statecznym, uczciwym, zacnym, pilnym i życzliwym, „którego rozum i robota po wszystkiém chrześcijaństwie z pochwałą słynie. Dan w mieście stołeczném „Krakowie, we wtorek po wszystkich świętych, roku „Pana naszego Jezusa Chrystusa 1503 r. Burmistrz „i rada miasta Krakowa.“

KOHLER.

To zdziałał Kohler, choć nie był na radzie.

Powiedzcież teraz, sławetni rajcowie,

Czy człowiek który przez długi lat szereg

Miał takie dziwne w bractwie zachowanie

Mógł się dopuścić zbrodni?

BURMISTRZ.

Staliśmy ściśle przy literze prawa,
A skoro Baner zaprzysiągł fałszerstwo,
Nie było więcej działania w téj sprawie.

KOHLER.

Więcie kto Baner?.. Trzęśliście archiwum...
Trzebaż się było rozpatrzeć w niém bacznie:
Ujrzelibyście że to łotr niegodny,
Krętacz i pieniacz, bez czci i sumienia,
Co prawem waszém igra jako piłką.
O! baczcie pilnie, sławetni rajcowie,
Byście pośpiechu nie pożałowali!..
Wszyscy uczciwi ludzie w Norymberdze
Są oburzeni tym porywczym sądem.
Odrzuciliście wszelkie za nim prośby
I biédnej córce wzbronili przystępu.
Tłumy sztukmistrzów i szlachty zaległy
Cały już rynek i pewnie wam wzbronią
Spełnić ten wyrok.

TUCHER.

Łucznicy pomogą.

KOHLER.

O pamiętajcie, by w żala i skrusze
Nie przyszło paść wam do nóg człowiekowi
Tak skrzywdzonemu!

TUCHER.

Eh! tego nie będzie.

KOHLER.

O człeku młody, zuchwały i pyszny!
Płytkim rozumem a krewkością swoją
Idziesz po świecie... Nienawidzisz mistrza,
Bo jest zawielki—lękaś się człowieka,
Bo gorzką prawdę nieraz ci wyrzucał.

BURMISTRZ.

Raczie się w mierze trzymać, panie Kohler.

KOHLER (*wstając*).

Postąpiliście niegodnie, rajcowie,
Daliście podzedz się ludziom przewrotnym,
Których knowania zawiść wywołała.
Bóg was pokarze, bo on sprawiedliwy!
Już mnie tu oczy wasze nie zobaczą:
Radziecką godność rzucam wam pod nogi!..
Zdeptana ona, splamiona prywatą.
Obcy-m już dla was, bo tu niema prawdy,
Sumienia niema, ni czei żadnej niema!

(*O odchodząc, spotyka we drzwiach WITA STWOSZA w kaj-
danach, prowadzonego przez dwóch łuczników z katem. Za
nimi MIKOŁAJ*).

KOHLER.

Szlachetny mistrzu! Kohler cię pozdrawia
I ceni wielce. Nie trać ducha, synu!
U ludzi zacnych zawsze zachowanie
I cześć mieć będziesz.

(*Stwosz w milczeniu ściska mu rękę. Kohler odchodzi*).

BURMISTRZ.

Wicie Stwoszu! W sprawie

Miedzy Banerem a tobą, o oblig
Któryś sfalszował, dzisiaj jednogłośnie
Wyrok wydany. Lecz nim według prawa
Do wykonania jego przystąpimy,
Zapytujemy ciebie uroczyście
Po raz ostatni: czy masz co powiedzieć
Przeciwko skardze Jakuba Banera?

WIT STWOSZ.

Co mam powiedzieć przeciwko téj skardze,
O tém sumienia wasze wiedzą dobrze

(*Wskazując krzyż.*)

I Ten na krzyżu, co wisi nad wami.

BURMISTRZ (*porywczo do Deichslera*).

Czytaj mu wyrok.

DEICHSLER (*czyta*).

„Urodzony Wit Stwosz, rzeźbiarz przybyły z Polski, za sfałszowanie rewersu na imię Jakuba Bane-
ra, zasłużył na karę śmierci, jak chce mieć prawo
magdeburskie. Ze względu jednak na jego wielką
biegłość w kunszcie i życie dotąd przykładne, rada
skazuje go tylko na karę piętnowania na twarzy, jego
własnym znakiem, na rynku w Norymberdze.“

WIT STWOSZ.

Ach!

DEICHSLER (*czyta*).

„Dan w Norymberdze, w dzień świętej Barbary,
4 grudnia 1503 roku.“

WIT STWOSZ.

Ja nie chcę piętna—żadam kary śmierci!

BURMISTRZ.

Jakto, odrzucasz łaskę świetnej rady?

WIT STWOSZ.

Łaski ja od was nie przyjmuję żadnej,
Chcę kary śmierci!

BURMISTRZ.

Już postanowiono

Że będziesz żywy.

WIT STWOSZ.

Żyć z piętnem hańby na twarzy nie mogę!
Łaski od wrogów nie przyjmę!.. Niech prawo
Czy magdeburskie, jak je nazywacie,
Czy norymberskie, lub czartowskie może,
Podług litery wykonane będzie.
Ja żadam tego!

BURMISTRZ.

O człeku zuchwały!

Pokorą raczej jednaj litość naszą.

WIT STWOSZ.

Pokorą, dla was? O, niechaj sklepienie
Błękitu niebios runie na mnie raczej,

Niech ziemia żywcem pochłonie całego,
Niżbym pokorą spodlił się przed wami.

NUTZEL.

Oj, nie wywołuj przekleństw na się, Stwoszu,
Bo się gotowe spełnić w oczach twoich.

WIT STWOSZ.

Już się spełniły! Wszak nic straszniejszego
Dotknąć człowieka nie może na świecie.
Wiem że czekacie na me łzy i rozpacz,
Aleście srodze omyleni w liczbie:
Nie dostaniecie odemnie ni kropli.
Wspaniałą ucztę chcieliście zgotować,
By dobyć ze mnie jęk skargi i żale,
A potem w prochu zdeptać mię sromotnie.
Jestem tu—depczcie! męczcie torturami!
Rwijcie me ciało na sztuki, jak sępy!
Jednego słówka skargi nie wymówię.
Jam z innój gliny, szlachetni rajcowie!
Gdym przybył do was, cukrowemi słowy
Upoiłście łatwowierny umysł,
By później ducha okuć mi w kajdany.
Gdym się otrząsnął i rzucił z pogardą
I te słodycze, i gniewy sierdziste,
Wówczas to zemstą zawrzeliście wszyscy,
Wynajdywali tysiączne powody,
By mi spokojne życie zatruc jadem,
Naślali zbirów, niszczyli mą pracę,
Zamordowali mego przyjaciela,
Gryzące pisma na dom przylepiali...
A gdy i tego było wam za mało,
Wymysliliście coś lepszego jeszcze,
I dojrzał zamiar w piekle urodzony.
Teraz powiedzcie, co uczynić trzeba,
By zdobyć sobie w pełni zemstę waszę?
Bo łaski od was nie chcę!.. nie przyjmuję!..

BURMISTRZ.

Jakże daleko posuniesz szaleństwo?

WIT STWOSZ.

Aż tam, gdzie znajdę ów paragraf w prawie,
Który mnie śmiercią skarać będzie musiał.

BURMISTRZ.

Szaleńcze nędzny! A czy wiesz że możesz
I coś lepszego wyjednać dla siebie,
Bo wylupienie oczu?.. Pochwyćcie go!

WIT STWOSZ.

Mistrzu Adamie!

MIKOŁAJ *(rzucając się do nóg rajców)*.

Szlachetni panowie,

O mićcie litość nad jego niedolą!
Cały w gorączce, bo od dwóch dni nie tknął
Jadła... napoju... Zmiłujcie się nad nim!
A ty, mój panie... ukorź się i błagaj!

WIT STWOSZ.

O marny starcze! Ja mam się ukorzyć?
Powiedz im, ileś lat w mojej rodzinie?

MIKOŁAJ.

Pięćdziesiąt, panie. Jam cię wypiautował.

WIT STWOSZ.

Czy przez ten szereg lat kilkudziesięciu
Spełniłem jaki czyn niegodny?

MIKOŁAJ.

Nigdy!

WIT STWOSZ.

Dziś obwiniają o fałszerstwo nieczne
Twojego pana... i ty chcesz, bym onych
Kalumniatorów miłosierdzia wzywał?

MIKOŁAJ.

Panie! Bóg ciężką karę na nas zesłał!

WIT STWOSZ.

Precz mi ze łzami! precz z płaczem niegodnym!
Każda łza nasza jest dla nich nektarem.

BURMISTRZ.

Precz z nim do lochu! inny wyrok będzie...

Precz... do więzienia!

(VISCHER wpada na czele synów swoich, uzbrojonych w młoty).

VISCHER.

Hola, cny burmistrzu!

Ni włos mu z głowy nie spadnie.

BURMISTRZ.

Co to jest?

Vischer z synami, uzbrojeni w młoty?

Zuchwalcze! wiesz ty, że to śmiercią grozi?

VISCHER.

Wiem tyle tylko, że mam przyjaciela,

Którego wyrwać z waszych szponów muszę.

Frytzu, Hans, Niklas—rozkujcie kajdany

Naszego mistrza!

BURMISTRZ.

Hola! Straże—do mnie!

VISCHER.

Nie wołaj straży, bo cię nie usłyszy,

Już moja czeladź z nią się rozprawiła.

(Tucher wymyka się drzwiami burmistrza.)

BURMISTRZ.

Ha, buntownicy! burzyciele! zdrajcy!

VISCHER.

Sędziowie bez czci, sumienia i wiary!

Łotr przekupiony był narzędziem waszém,

A człek uczciwy pohańbion niegodnie

Za to, że pyłu kornie wam nie zmiatał.

Szukacie chluby z prac wielkiego mistrza,

A na człowieku piętno kłaść każecie?

BURMISTRZ.

Przestań, zuchwały! Nie znieważaj prawa!

Myśmy po ludzku sądzili go spolem.

Zasłużył na śmierć... Dość tych burd i kłótni,

Bo i ty losy jego dzielić będziesz.

VISCHER.

Zrobicie ze mną co się wam podoba,
Lecz jego zhańbić nie dam nigdy! nigdy!..
(*Rzucając im pod nogi kajdany Stwosza.*)
Okuli ręce, co wsławiły miasto
I tyle wielkich dzieł świata przyniosły.
Tak nagradzacie zasługę? Pojdź, Stwoszu,
Tyś wolny, mistrzu!

WIT STWOSZ.

Ustąp bracie, ustąp!

Bo zgubisz siebie, a mnie nie pomożesz.
Zostaw im zemstę—niech ją spełnią radzi,
Podołam temu żółci kielichowi.

VISCHER.

Stwoszu, ja nie dam zhańbić cię, znieważyc!
W tobie pohańbią sztukę naszą świętą,
Ducha Bożego podepczą nogami...

WIT STWOSZ.

Nie, tylko ciało, duch potężny zawsze!
Chrystus na krzyżu wytrwał w strasznój męce...

VISCHER.

Bo on był Bogiem.

GŁOSY ZA SCENĄ.

Stwosz! Stwosz! Stwosz!

VISCHER.

Czy słyszysz?

To głosy naszych—ludzi Pirkheimera,
To czeladź Krafta, uczniowie Dürera.
Całyśmy ratusz opasali nimi.
Wszyscyśmy sobie wzięli godło twoje,
Twą pieczęć, mistrzu, jako czei oznakę.
Rozróżnisz po nim łąco swych przyjaciół.
Potém bezpieczny do Hessyi podążysz,
Landgraf zasłoni cię przed ich napacją.
(*Zégar wybija dwunastą.*)

WIT STWOSZ.

Cicho! czy słyszysz?.. to jest głos żebraka,
Mistrza Adama... to on czeka na mnie,
Abym los jego spełnił sam na sobie...
To kara dla mnie, że nie poszanowałem
Przestróg i pracy, że ją wrogom wydałem...

(*TUCHER wchodzi z łucznikami.*)

BURMISTRZ.

Stwosza pod pręgierz!

VISCHER.

Nigdy! ani krokiem!

BURMISTRZ.

Szaleńca tego pochwycić mi prędjéj!

VISCHER.

Niech się poważają!

(*Łucznicy otaczają Vischera, podczas gdy inni wyprowadzają Stwosza.*)

Przekleństwo wam, podli!

(*Odbiega za Stwoszem.*)

BURMISTRZ.

Otoczyć silnie Stwosza z katem razem!

Niech nikt przystępu nie znajdzie do niego!

Śpieszyć czémprędzej.

(*Łucznicy wychodzą szybko.*)

Za to co się stało

Wy sobie samym dziękujecie, rajcowie.

Ratusz nasz cały stał się dziś przybytkiem

Karczemnych klótni i burd wyuzdanych.

Mówilem nieraz, że człek to gwałtowny,

Mający w mieście adherentów mnóstwo,

Że dużo swarów, dużo niepokoi

Przyniesie miastu... Kiedy chciał wyjeżdżać,

Było przez szpary patrzeć na ten powrót.

(*Za sceną gwar i GŁOSY.*)

Stwosz! Stwosz! uwolnić Stwosza!

BURMISTRZ.

Cóż tam się dzieje?

NUTZEL.

Jego przyjaciele

Tak pozdrawiają.

GEUDER.

To banda próżniaków,

Vischer na czele.

TUCHER.

Odplaci mi za to.

(Okrzyki za sceną.)

„Stwosz fałszerz! pod pręgierz!“

GEUDER.

Gradem kamieni sypnięto na niego.

TUCHER.

Dobrze! to nasi.

GEUDER.

Kat trafiony w głowę.

TUCHER.

Przekłęcie!

GŁOSY ZA SCENĄ.

„Hura! hura! Stwosz! ratujmy Stwosza!“

GEUDER.

Siostra Erdmuta, a z nią kobiet mnóstwo...

Już otoczyli Stwosza całą masą,

Ale łucznicy wypędzą ich wkrótce.

(Burmistrz i rajcy wchodzi na balkon, prócz Tuchera i Geudera.)

TUCHER.

Słuchaj, Geuderze—poczniem z inną beczki,

Wszystkie roboty oddamy Stwoszowi.

GEUDER.

Kraft już rozpoczął.

TUCHER.

Odbierzem Kraftowi.

Sądziś że burda którą Vischer zdziałał

Zakończy wszystko? mylisz się, mój bracie,
Zacznie się teraz moc utrapień dla nas,
Nagabywani ze wszech stron będziemy.
Szlachta jest za nim. Landgraf heski zwiędza
Jego pracownię, a są mu życzliwi
Biskup wirchurski i marszałek z Hanau;
Wobec nich tedy musim się okazać
Jako bezstronni, lecz surowi sędzie,
A przytém kunsztu miłośnicy wielcy.
Jako fałszerza skazaliśmy Stwosza,
Ale sztukmistrza szanujemy zawsze.
Burmistrz zmartwiony, zasępion straszliwie,
A nigdy władza naszego ratusza
Świetniej nie stała, jak dzisiaj—pojmujesz?..
Ów Stwosz, którego prace głośnie w świecie,
Którego władców zaszczycają względy,
Król portugalski zwie Prometeuszem,
I Maksymilian i elektor heski
O jego dzieła ubiegać się radzi...
Zdeptan dziś przez nas—zhańbiony—przybity!
Cóż to za tryumf!

NUTZEL (*do Tuchera i Geudera*).

Trzymany przez strażę,
Już się nie wymknie—czytają mu wyrok.

(*Wszyscy wychodzą na balkon. Cisza. Słychać słowa wyroku. Wchodzi ostrożnie STEINBAUER.*)

GŁOS DEICHSLERA *za sceną*.

„Stwosz, rzeźbiarz przybyły z Polski, za sfalszowanie...”

STEINBAUER.

Mogliby długich tych formuł zaniechać,
A raz przystąpić do głównego faktu.

GŁOS.

„Rada skazuje go na piętnowanie...”

STEINBAUER (*powtarza*).

Na piętnowanie „jego własnym znakiem, na rynku w Norymberdze.“

Tak—teraz znamię wypal mu na twarzy...

To samo znamię, którem się tak szczycił

I na swych pracach dumnie je umieszczał,

To samo znamię dzisiaj w ręku kata

Straci nazawsze swoją barwę cudną.

Przecież się stało... Już mię zdjęła trwoga,

Że końca dzisiaj nie będzie tej sprawie.

A teraz resztę zrobmy...

(*Idzie ostrożnie do stołu i szuka.*)

Gdzie są akta

Stwoszowej sprawy? Są tu... dobrze... prędzej!

Znak pozostanie li tylko na twarzy,

A więc nigdzie..., w papierach ni śladu,

I nikt o prawdzie, nikt wiedzieć nie będzie,

Nikt, prócz...

GŁOSY z ulicy.

Sumienia!.. Sumienia!.. Sumienia!..

STEINBAUER (*z trwogą*).

Co to?.. sumienia? Kto wyrzekł te słowa?

Ach to są głosy tych głupców z ulicy,

To Vischer wrzeszczy z nimi o sumieniu.

Sumienie! Ha! ha! Zakupię piętnaście,

Choćby dwadzieścia mszy—jałmużnę rzucę

Żebrakom szczerze, a sumienie wówczas

Spać będzie cicho. (*Rzuca papiery w komin*).

Precz z temi szpargały!

Tak, ślady tylko na twarzy zostaną,

Bo tu na ziemi już ich nikt nie znajdzie,

Chyba tam może, jeśli się spotkamy...

Czyż się spotkamy?.. Może i tam będzie

Jakowy Baner, co fałszywie zezna...

Jakże się wolno palą te papiery!

Tam niezadługo już się wszystko skończy.

Słyszę... nadchodzą... Ten ogień nie pali,
 A jabym chętnie chciał się ogrzać przy nim.
 Zimno mnie trzęsie... i zęby szczekają..
 Fe, Steinbauerze! głupstwo!.. drżysz jak dziecko...
 No prędjéj!.. pal się!.. a cóż to za ogień?...
 Ima powoli... Ha, już popiół tylko!

*(Wchodzi WIT STWOSZ, z piętnem na twarzy, prowadzo-
 ny przez siostrę ERDMUTĘ; za nim MIKOŁAJ. Sadzą go
 na krześle).*

WIT STWOSZ.

Wody!

*Steinbauer nalewa i podaje Witowi. Ten wpatruje się w nie-
 go. Steinbauer wypuszcza kubek z ręki.)*

STEINBAUER (n. s.)

Tylko na twarzy znamię pozostanie,
 Ale jak straszne ono!.. jak złowrogiel!..

(Wybiega w pomieszaniu.)

(Mikołaj podnosi kubek i podaje go Stwoszowi.)

ERDMUTA.

Człowieku z szpizu! Uzał się boleści,
 Daj folgę sercu—niechaj ból wezbrany
 Ustąpi z piersi, abys się w téj walce
 Nie strawił...

WIT STWOSZ.

Czego chcecie?.. Niemoc swoją,
 I zółć, i rozpacz zawarłem w piersi głębiach,
 I ani kropli jój nie dostaniecie.

MIKOŁAJ.

Wspomnij na dzieci! wspomnij miasto nasze.

WIT STWOSZ.

Ja nie mam dzieci! W pogoni za sławą,
 Za marném widmem, uciekłem przed niemi,
 Zamknąłem serce przed miłością wszystką...

ERDMUTA.

Biedny człowieku! tys godzien litości!

WIT STWOSZ.

Nie chcę litości, nie chcę żalów waszych.
Cały ten świat wasz, to gniazdo szatanów!
Sam sobie starczę—a serce me odtąd
W jedną nienawiść zamieni się całe.

(*Głos BEATY za sceną słabo*).

Ojczel!.. mój ojczel!

WIT STWOSZ (*zrywając się*).

To głos mego dziecka!

Beato droga!

BEATA (*wchodzi blada, chwiejnym krokiem*).

Ojczel!

(*Pada zemdlona u nóg Stwosza.*)

WIT STWOSZ.

Co to jest?.. padasz jak gałąź złamana,
Twarzyczka twoja barwę chusty wzięła,
Usta zsiniały i oddech już ustal?
Umiéra!... Córkó!.. O Stwórco przedwieczny!
Boże litośny! nie bierz mi ostatnie
Mojój pociechy!.. Beato! Beato!
Czyż niedość kary? Wróć mi dziecko moje!
Padam tu w prochu, ukorzon przed Tobą,
I zebrzę łaski, miłosierdzia Twego!
Tyś mnie pokarał, bom Ci bluźnił, Boże,
Dziś pycha moja w pyłe podeptana.
Lecz niedość jeszcze... kopcie mnie nogami,
Raz drugi piętnem znaczcie mnie sromotnie,
Tylko niech ona, mój anioł niebieski,
Wróci do życia... Porusza się!.. Boże!
Oddycha!.. Żyje!..

BEATA (*otwiera oczy z uśmiechem*).

Tyś to, mój najdroższy?

Jakżem ja dawno nie widziała ciebie!
Co to?.. na twarzy monogram swój dźwigasz?
O ten monogram!.. Aleś żyw i cały,
Bóg sprawiedliwy—a jam już myślała

Że cię nie ujrzę.

WIT STWOSZ.

Beato!

BEATA.

Szczęśliwam,

Spokojnam teraz... O przebac mi, ojcze!

WIT STWOSZ.

Ja ci przebaczyć?..

BEATA.

Żem nie potrafiła

Ochronić ciebie... Jam chciała... lecz siły
Brakło—upadłam

WIT STWOSZ (*tlumiąc łzy rozrzewnienia*).
O, radość wielka przytłumia mi oddech....
Boże wszechmocny! w jednej małej chwili
Dajesz nam tyle rozpaczy i szczęścia!..
Pójdź, drogie dziewczę—wrócimy do gniazda,
Żebraczy kosztur weźmiemy do ręki
I z piosnką szczęścia iść będziem przez drogę.
Ojciec twój świętych będzie strugał z lipy,
A wieśniak chlebem za to nas uraczy.
Wszakże, panowie, już sprawa skończona?

TUCHER.

Sprawa skończona, lecz wam już niewolno
Jednego kroku zrobić z Norymbergi.

WIT STWOSZ.

Prawda! jam przysiągł—torturą mnie zmogli.
Ależ jam błagać, jam wyżebrać gotów...

BEATA.

Nie, ojcze, nie proś—zostaniemy tutaj.
To Bóg tak zrządził—wola Jego święta!
Pokutą zmywać będziem grzechy nasze.
Na grobie tego, co dał życie za nas,
Miłością tylko i zaparciem siebie
Przebłagać Stwórcę możemy.

WIT STWOSZ.

Beato!

Anielskie dziewczę!.. Jam ciebie niegodzien!
 Cóż znaczy krzywda moja, w porównaniu
 Do tego szczęścia, jakiem mnie dziś darzysz?
 Tyś moją sławą, ty szczęściem jedyném!
 Pójdź!.. Wołać będę: patrzcie, oto córka
 Siłą miłości dźwigła mnie z upadku!
 Nic nie wskórali wrogowie zajadli,
 Bo ja mam ciebie... Jam dziś oczyszczony,
 Jam odrodzony do życia i pracy!..
 Poznałem przedsmak téj straszliwój kary,
 Coby mnie gromem rzuciła o ziemię,
 Gdybym cię stracił, mój skarbie bezcenny!
 (*Wchodzi DÜRER z wieńcem, VISCHER, Mieszczanie, Lud.*)

DÜRER.

Mistrzu nasz, Stwoszu!..

WIT STWOSZ.

Tu już niema Stwosza,
 Stwosz już dla świata umarłym nazawsze.
 Zrzuciłem Stwosza tam pod tym pręgierzem,
 Na radość katom, na pociechę piekłu.
 Dziś został sługa i pracownik Boży.

DÜRER.

Posłuchaj, Wicie. Norymberga cała
 Przez nasze usta przemawia do ciebie:
 Wszyscy szlachetni i uczciwi ludzie
 Boleją wielce nad twą ciężką krzywdą.
 Więc tu w ratuszu, gdzie cię pokrzywdzono,
 Niewinność twoję ogłaszają jawnie
 I zanim cesarz oczyści cię glejtem,
 Wieniec na skroń twą kładą uroczyście.

WIT STWOSZ (*odsuwając wieniec*).

Wdzięczny-m wam, bracia, ale wieńca nie chcę!
 Kiedys na trumnie złożycie mi wieńce,
 Tu ich nie żądam, bo w nich gady skryte.

DÜRER.

Pocziwą sławą gardzisz, mistrzu?

WIT STWOSZ.

Sławą?..

Jeden oszczerca zdołał ją obalić.
 Idźmy przez życie z miłością i wiarą,
 Sławę zostawmy późnym pokoleniom,
 Bo ona wtenczas jest czysta i trwała
 I wolna zmazy, gdy ją wieki piszą.
 Prowadź mnie, córko, przed kościół Sebalda,
 Padniem w pokorze pod jego murami:
 Zdala od mogił braci ukochanych,
 Które nam ujrzeć zabraniają losy,
 Słać będziem za nich modły tęskne, korne,
 Aż wstaniem czysti na resztę żywota.

(Zasłona spada).



KONIEC.



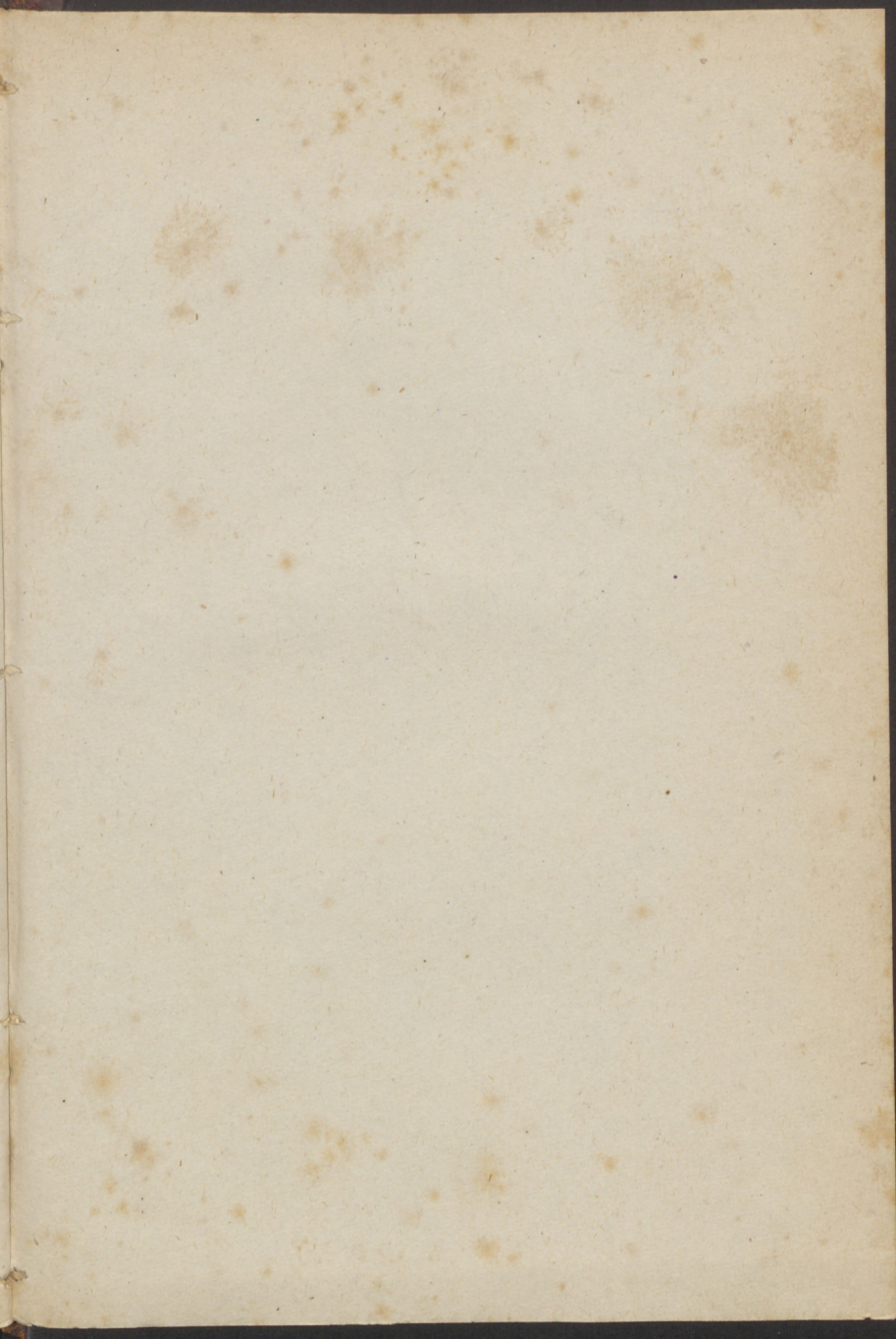


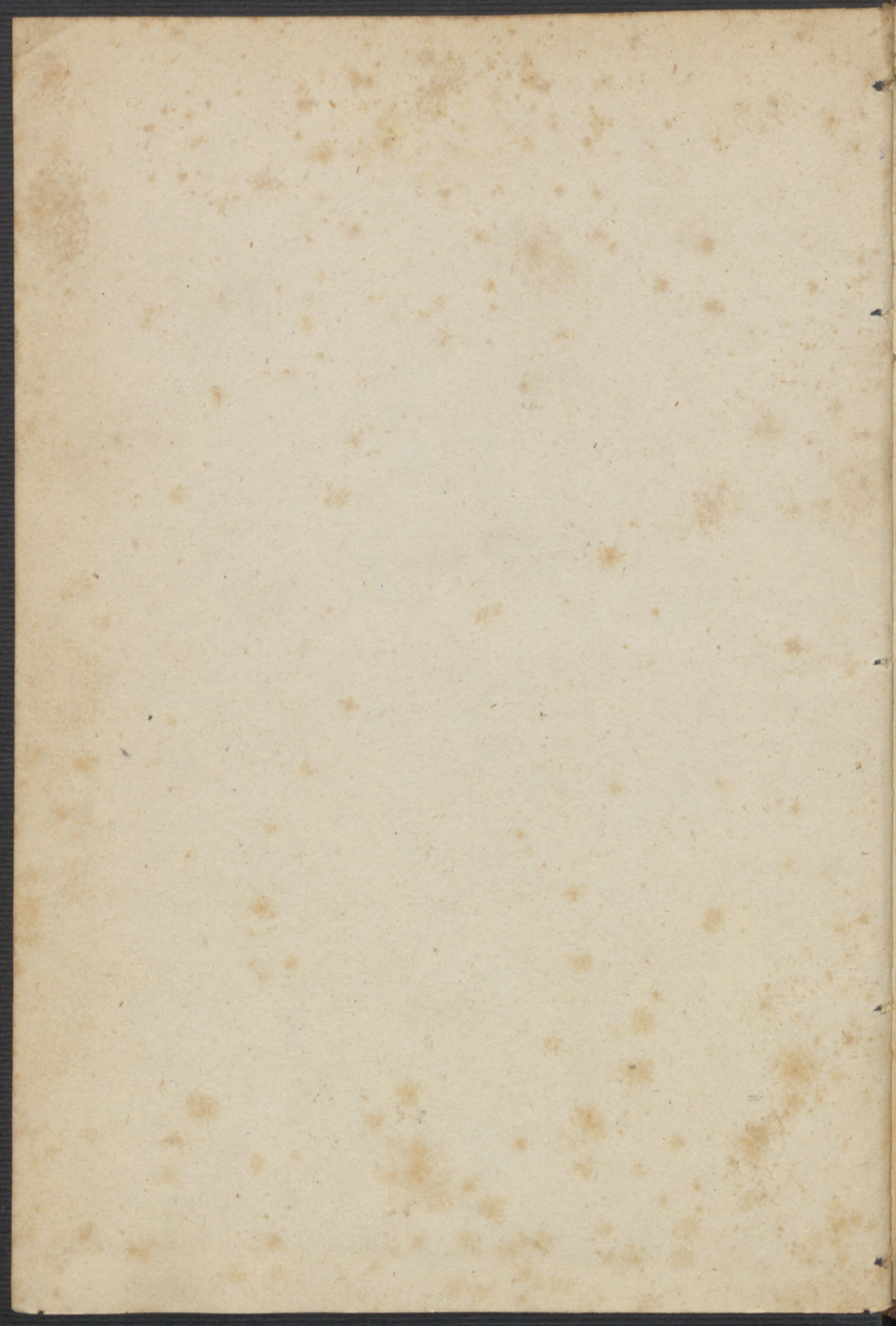
POMYŁKI DRUKU.

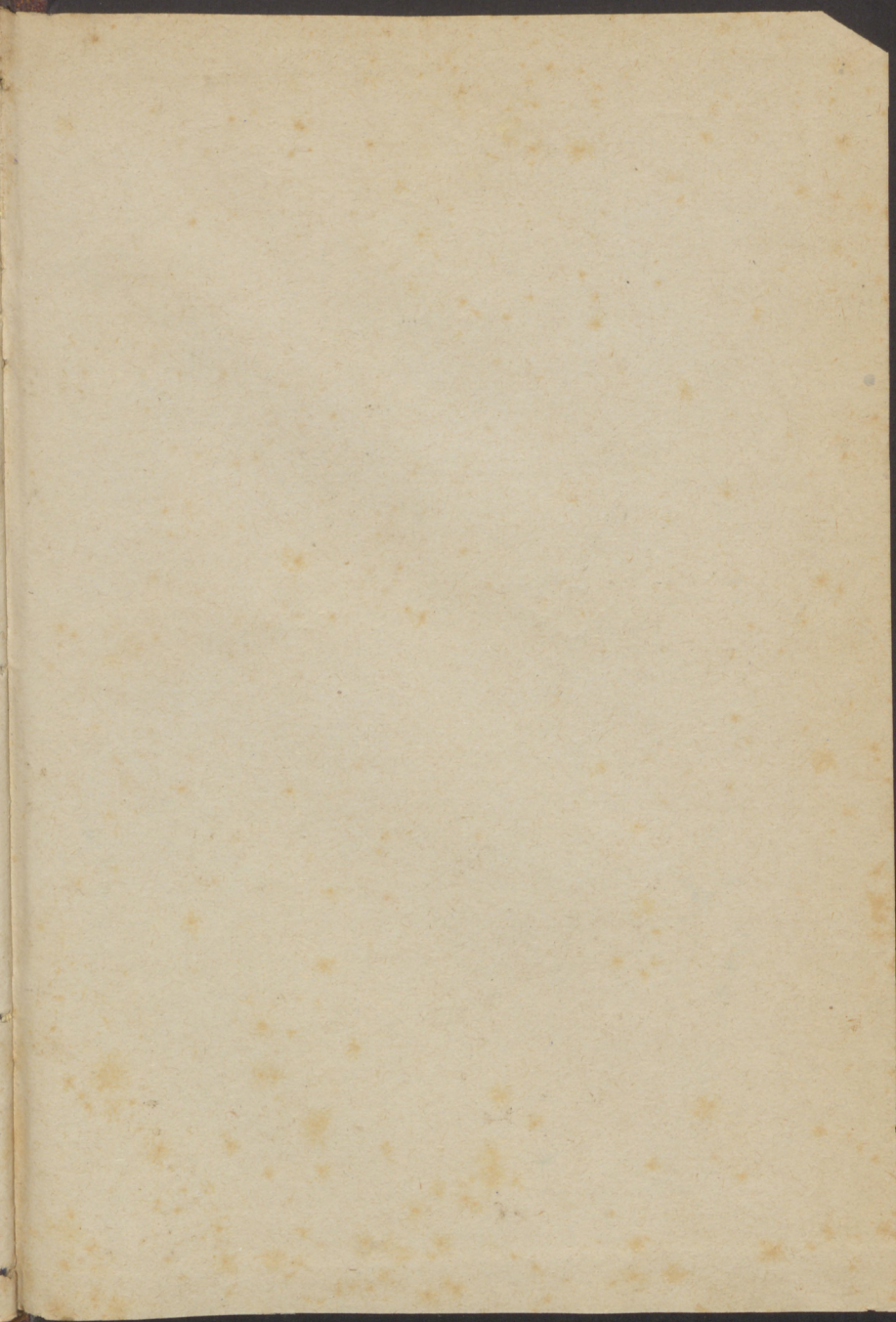
~~~~~  
W osobach zamiast: *Gender*, czytaj: *Geuder*.

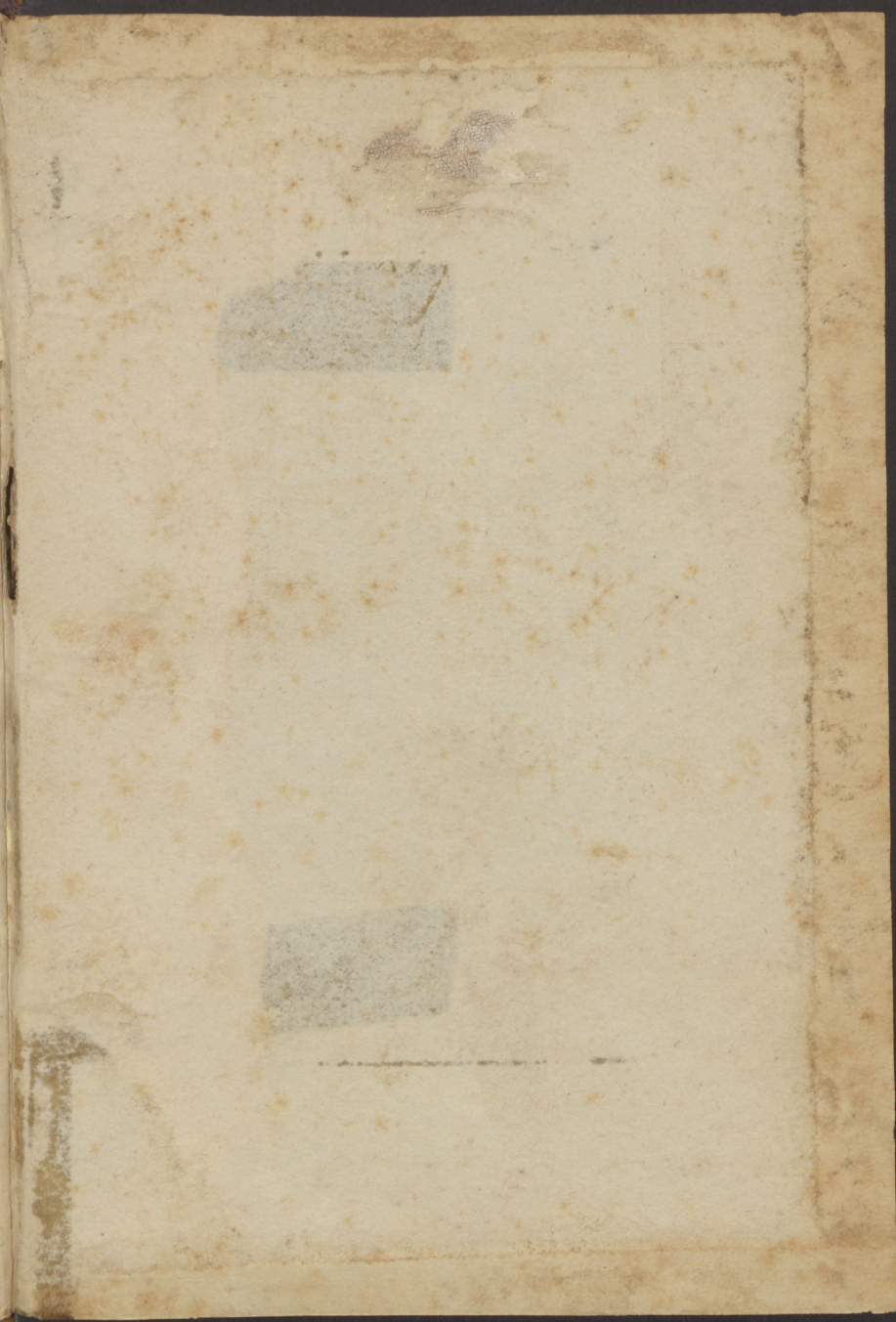
Strona 38, wiersz 10 od dołu, w nagłówku, zamiast: *Wit Stwosz*, czytaj: *Król*.

Strona 44, wiersz 17 od góry, w nagłówku, zamiast: *Wit Stwosz*, czytaj: *Starzec*.  
  
~~~~~





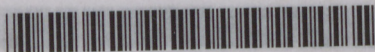


30- 50.-

Sept 1/3 23



Wojewódzka Biblioteka Publiczna
w Olsztynie



010-051199